

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 19 marca 1911 r.
Nr. 12.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Św. Józef.

Opiekun Zbawiciela, święty Józef pochodził z królewskiego rodu Dawida. Kiedy i gdzie się urodził Ewangelia nam nie powiada, ale prawdopodobnie urodził się w Nazarecie. Pomimo, że św. Józef nie był rzeczywistym ojcem Zbawiciela, to jednak pochodzenie jego z rodu Dawidowego ze względu na Jezusa jest bardzo ważne. Prawo żydowskie nie pozwalało bowiem brać sobie z innego pokolenia żony, jak tylko ze swego własnego, a więc pochodziła i Marya z rodu Dawidowego i spełniła się przepowiednia proroka, że Chrystus Pan narodzi się z pokolenia króla Dawida.

Królewski ród Dawida utracił był wówczas swoją świetność i zubożał zupełnie, albowiem Marya była ubogą panną a i św. Józef był tylko ubogim rzemieślnikiem. Chciał Zbawiciel przyjść w ubóstwie i poniżeniu na świat, chciał się stać równym najmniejszemu ze swych braci, czyż opiekun Jego mógł być bogatym, dostojnym człowiekiem, kiedy Matka Jego była ubogą, nieznaną dziewicą?

Chociaż św. Józef był tak ubogim i światu wcale nieznanym, to jednak żaden człowiek w oczach Boga nie był tak bogatym i tyle znaczącym, kiedy on właśnie jego wybrał do tak wielkiej godności. Był to mąż według słów św. Mateusza sprawiedliwy i wolny od wszelkiej winy, a jak ojcowie kościoła twierdzą, miał zachować przez całe swe życie czystość dziewiczą, totez widzimy św. Józefa na obrazach i t. d. z symbolem czystości, białą lilią w ręku.

Jako wierny towarzysz Najśw. Maryi Panny musiał i on odczuć trudności, które ich nawiedzały, jak naprzykład w podróży do Betleem, gdy nigdzie schronienia w tej zimnej porze roku znaleźć nie mogli, kiedy ich wszędzie ze wzgardą odpychano, aż nareszcie zmuszeni byli w stajence się pomieścić. Ale w tem umartwieniu dostąpił św. Józef tej łaski, że mógł najpierwszy prócz Maryi oglądać upragnionego przez wszystkich Zbawiciela świata i że mu się mógł pokłonić jako swemu Synowi przybranemu.

Radość napełnia serce jego, gdy widzi oprócz pastuszków trzech Króli przybyłych z dalekiego wschodu i oddających cześć boskiemu Dzieciątku w ubogiej stajence. Atoli w tej wielkiej radości, Bóg znów zsyła na niego smutek wielki, gdy Anioł Pański oznajmia mu, iż król Herod czyha na życie Dzieciątka i święty Józef tej samej nocy wybiera się w ucieczkę daleką, aby ujść przed tyranem. Gdy później dowiaduje się, iż Heroda, który kazał tyle niewinnych ofiar pomordować, spotkała zasłużona kara i już nie żyje, wybiera się znowu napowrót. W drodze dowiedział się, że syn Heroda, który dorównywał w okrócieństwie ojcu, objął po nim rządy, aby minąć nowe niebezpieczeństwo, zamieszkuje na rozkaz Boga w Nazarecie.

Później okazuje się św. Józef także jako wierny opiekun Jezusa i Maryi. Gdy wybiera się na święta Wielkanocne do Jerozolimy, bierze z sobą Jezusa dwunastoletniego, ale gdy powraca, nie widzi Go przy sobie. I poczyna z Maryą Jezusa szukać, aż nareszcie po trzech dniach znajduje go siedzącego pomiędzy doktorami i uczonymi w piśmie, jak ich pytał i słuchał i na pytania ich odpowiadał.

Kiedy św. Józef umarł, nie wiadomo, ale zmarł on z pewnością przed publicznem wystąpieniem Chrystusa Pana, gdyż Pismo św. o nim później nic nie wspomina, a gdyby żył, byłby obecnym na godach w Kanie galilejskiej i na innem jeszcze miejscubyśmy o nim coś słyszeli. Zmarł on bezwątpienia w Nazarecie w obecności i na rękach Jezusa i Maryi. A jaka słodka musiała być śmierć jego, męża tak bogobojnego jak św. Józef, który całe swe życie poświęcił, oddany Bogu, na to, aby spełnił posłannictwo, powierzone mu przez Niego.

To też w kościele katolickim pomiędzy świętymi szczególniej jest czczony, a kościół w modlitwie prosi św. Józefa, »aby bronił kościół Boży od wszelkich zasadzek nieprzyjacielskich«.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

8. Gaj Palmowy.

Kraj, przez który przejeżdżali, był falisty i starannie uprawny; spożytkowano każdą piędź ziemi. Wśród gajów figowych, pomarańczowych i cytrynowych lasków, przezierały gdzieniegdzie białe domki wieśniaków. A wszędzie obfitość, owa uśmiechnięta córa pokoju, objawiała tysiącznymi znaki, że tu ulubiony jej przybytek.

Podróżni nasi, dotarłszy do jego brzegów, jechali nimi raz przez strome, piaszczyste pagórki, to znowu przez zielone równiny. Jadąc wzdłuż brzegów rzeki, podróżni nasi ujrzeli przed sobą ogromną, przejrzystą taflę jeziora, zasilanego wodami Orontesu; naokoło królewskim wieńcem otaczały go palmy niebotyczne. Z wyjątkiem chyba rozkosznych oaz Arabii, na całym świecie nie było podobnego krajobrazu.

— Oto Gaj Palmowy! — zawołał Malluch.

Ben-Hur był jakby upojony tym widokiem. — Przez zielony namiot zwieszających się nad ich głowami liści, przezierał szafir nieba.

— O ile mogłem dziś zauważyć, zacny Malluchu, szeik Ilderim jest najpospolitszym w świecie człowiekiem. Czcigodni rabi z Jerozolimy pogardzaliby nim. Jakimże sposobem wszedł on w posiadanie tego czarownego ustronia? Jak zdołał go ocalić przed chciwością rzymskich gubernatorów?

— Stary Ilderim ma krew starą i szlachetną — odparł Malluch. — Wszyscy przodkowie jego, również jak i on, byli szeikami. Jeden z nich — nie pomnę już kiedy to było — uratował życie obsaczonemu przez nieprzyjaciół królowi, dając mu tysiąc jeźdźców, co znali wszystkie ścieżki i kryjówki pustyni, jak pasterz zna gołe skały, na których przebywa ze swą trzodą. Przeprowadzali go oni z miejsca na miejsce, aż znaleźli sposobność zaskoczyć znienacka jego nieprzyjaciół. Pobiwszy ich na głowę, osadzili go znowu na tronie. A król, jak mówi podanie, był wdzięczny i pamiętny, więc sprowadził tu syna pustyni i prosił, aby rozpiął swój namiot w tym gaju, gdyż jezioro i las ten i cały kraj, od rzeki do najbliższych gór, jest własnością jego i potomstwa, po wiek wieków. Późniejsi władcy we własnym interesie starali się zachować dobre stosunki z tem pokoleniem, gdyż rozmnażało się ono coraz bardziej, wzrastały jego bogactwa, rozradzały się konie i wielbłądy. Dziś szeik Ilderim jest panem całego okolicznego kraju i wielu dróg bitych pomiędzy miastami, tak że w każdej chwili może zawołać na przejeżdżające karawany: »Stój!« lub: »Jedźcie dalej w pokoju!« Sam nawet prefekt, co rządzi z twierdzy, uważa za szczęśliwy dzień, w którym szeik Ilderim, przezwany Dobrotliwym za liczne swe uczynki, z żonami swemi, dziećmi i służbą, ze stadami koni i wielbłądów, wyrusza ze swego ustronia do Antyochii.

— Jeśli tak bardzo jest przez nich ceniony, dlaczegóż dziś wyrywał sobie włosy z brody i przeklinał samego siebie za to, że zaufał Rzymianinowi? Gdyby go Cezar był słyszał, rzekłby niewątpliwie: »Nie podoba mi się taki przyjaciel. Precz z nim!«

— Przypuszczasz, że Ilderim nie lubi Rzymu? Istotnie, żywi do niego urazę. Przed trzema laty na drodze Partowie napadli karawanę, wiozącą podatek z pobliskiego obwodu i ograbili ją ze szczętem. Dla pokrycia strat, obciążono lud nowemi podatkami. Ludność zaniosła skargę do samego cezara, a gdy tenże kazał zapłacić niedobór Herodowi, król żydowski pod pozorem, że szeik nie strzeże bezpieczeństwa dróg publicznych, na niego przelał tę karę. Nie pomogły kołatania przed tron cezara, Ilderim stał się kozłem ofiarnym. Odtąd starzec znienawidził Rzym, a nienawiść tę pielęgnuje troskliwie, czekając tylko chwili, aż będzie mógł dać jej upust przez zemstę.

— Cóż on może uczynić, mój Malluchu?

— Rozumiem cię. Sądzisz, że każde usiłowanie zemsty musi się rozbić o potęgę wszechwładnego Rzymu? Posłuchaj przeto. Trzeba ci wiedzieć, że jestem w służbie u Simonidesa; pan mój darzy mnie swojem zaufaniem i nieraz pyta mnie o radę, o czem wiedząc, przyjaciele jego mówią z nim nieraz swobodnie w mojej obecności. W ten to sposób słyszałem wiele i o szeiku Ilderimie.

Wzmianka o kupcu antyochijskim przywiodła przed oczy Ben-Hura słodką postać jego córki. Widział czarne jej smętne oczy, słyszał słodki jej głos, ciche jej stąpanie; widzenie to było mu miłem, lecz prędko znikło.

— Przed kilku dniami — mówił dalej Malluch — szeik przybył w odwiedziny do mego pana; zauważywszy, że jest niezwykle wzburzony, chciałem wyjść z komnaty, lecz zatrzymał mnie, mówiąc: »Zostań! jesteś Izraelitą, możesz słyszeć to, co mam powiedzieć«. Pozostałem i słyszałem rzeczy niezwykłe. Wiele lat temu trzech ludzi nawiedziło Ilderima w pustyni. Wszyscy trzej byli cudzoziemcy: Indyanin, Grek i Egipcyanin, a jechali na białych wielbłądach, równie pięknych zwierząt nie widziano jeszcze. Szeik pozdrowił ich i prosił, aby się rozgościli pod jego namiotem. Nazajutrz wstali i poczęli odmawiać modlitwy nieznane dotychczas szeikowi; modlili się do jednego jedynego Boga. Po spożyciu posiłku Egipcyanin powiedział co byli za jedni i skąd przybywali. Każdy z nich w kraju swoim, a kraje te były jeden od drugiego bardzo odległe, każdy z nich jednocześnie widział gwiazdę i słyszał głos z nieba, który mu rozkazał, aby szedł do Jeruzalem, pytając po drodze: »Gdzie jest Ten, co się narodził, Król żydowski?« Głosowi temu wszyscy trzej byli posłuszni i zjechali się na pustyni i jechali razem do świętego miasta. Stamtąd gwiazda zawiodła ich do Betleem, gdzie znaleźli w jaskini nowo narodzone dziecię. Padli przed niem na kolana, oddając mu hołd, jako Bogu. A gdy je tak uczcili i złożyli mu dary, dosiedli wielbłądów i uciekali bez wytchnienia aż do namiotu szeika, albowiem Herod, przezwany Wielkim, gonił ich i byłby niewątpliwie ich zabił za to, że ośmielili się nazwać Dzieciątko królem żydowskim. Szeik ukrywał ich pod swym namiotem przez rok cały, gościł ich i miał o nich staranie. Potem wyruszyli, każdy w swą stronę, obdarzywszy go kosztownymi podarunkami.

— Istotnie, opowieść to niezwykła. Czy wierzysz jej?

— Znam Ilderima. Kłamstwo nie postało nigdy na jego ustach.

Tak byli zajęci rozmową, że nie zauważyli, jak wielbłądy, pozostawione same sobie, skręciły z drogi na trawę i poczęły ją skubać.

Z palmy ponad ich głowami, odezwały się nagle słowa pozdrowienia:

— Pokój nich będzie z wami! odezwał się niewolnik, zbierający daktyle, a jednocześnie drobne rączęta wyciągnęły się ku nim i w jednej chwili rój dzieci obstąpił ich, podając koszyki ze słodkim owocem.

— Zbliżamy się do namiotów — objaśniał Malluch — odtąd co krok spotykać się będziemy z niezrównaną gościnnością dzieci pustyni.

Skierowali wielbłądy na bitą drogę.

— Cóż się stało z owymi pielgrzymami? — pytał dalej zaciekawiony Ben Hur. — Czy nie słyszano o nich więcej?

— Przeciwnie — odparł Malluch. — Dlatego to właśnie szeik przybył w owym dniu do mego pana. Przedwczoraj jeden z pątników odwiedził go znowu.

— Gdzie?

— Tu, pod namiotem, który ujrzysz za chwilę. Jechał na tym samym wielbłądzie. Był to Baltazar, Egipcyanin.

— Rzekłeś: Baltazar, Egipcyanin! — zawołał Ben-Hur z wielkiem wzburzeniem.

— Nie inaczej.

— Wszak imię takie podał starzec u źródła?

— Istotnie — rzekł Malluch, a widać było, że jest podrażnionym i że wspomnienie to nie jest mu miłem. — Istotnie, a wielbłąd był także biały. Ocaliłeś człowiekowi temu życie.

— A niewiasta? — mówił Ben-Hur jakby do siebie — a niewiasta jest jego córką?

Wpadł w zadumę.

Inny tym razem obraz stawał mu przed oczyma, przypatrywał mu się dłużej i czulej, niż pierwszemu. Odrywając się wreszcie od tego czarownego widoku, rzekł:

— Więc powiadasz, iż się pytali o króla żydowskiego? Powtórz mi to raz jeszcze. Czy mówili, że *ma być* królem żydowskim?

— Nie. Pytali się: »Gdzie jest Ten, co się narodził, król żydowski?« Egipcyanin oczekuje dotychczas i wierzy weń, że zdepce pod swemi stopami Rzym. Szeik podziela tę wiarę.

Ben Hur zamyślił się głęboko.

— Starzec ten jest tylko jednym z milionów — rzekł wreszcie z nienawiścią w spojrzeniu i głosie — jednym z wielu milionów ludzi, co mają krzywdę do pomszczenia; nadzieja, że przyjdzie mściciel, jest słodkim napojem dla jego myśli i smakowitem pożywieniem dla serca jego. Ale czy przyjdzie? A choćby przyszedł, któż może być królem żydowskim, dopóki żyje Herod? Cóż o tem myśli Simonides?

— Jeśli Ilderim, choć wrażliwy i namiętny jest przezorny, to Simonides mądrym jest. Słyszałem, jak mu odpowiedział. Lecz pst...

Dał się słyszeć tętent kopyt, za chwilę ujrzeli samego szeika, jadącego konno na czele licznej służby. Prowadzono za nim cztery jego niezrównane kasztany. Ilderim jechał ze spuszczoną posępnie głową. Ujrzawszy gości swych rozpogodził oblicze.

— Pokój ci, młodzieńcze! — rzekł, zwracając się do Ben Hura. — A! oto i mój przyjaciel, Malluch! Pozdrawiam cię uprzejmie. Masz zapewne zlecenie do mnie od czcigodnego Simonidesa? Jedźcie ze mną, proszę, w namiocie moim jest niemało chleba i wina.

Dojechawszy do namiotu, zsiadł pospiesznie z konia i powitał ich w progu.

W namiocie Malluch wziął na stronę Ilderima i mówił z nim długo; potem zbliżył się do Ben-Hura:

— Przedstawiłem prośbę twą szeikowi. Jest twym przyjacielem. Jutro rano pozwoli ci spróbować swych koni. A teraz, uczyniwszy dla ciebie, co tylko było w mej mocy, muszę powracać do Antyochii. Jest tam ktoś, przed kim obiecałem się stawić dziś jeszcze. Muszę dotrzymać słowa. Jutro wrócę tu i towarzyszyć ci będę wiernie, aż dopóki nie odbędą się gonitwy.

Po wzajemnych pozdrowieniach i błogosławieństwach, Malluch odjechał do Antyochii.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gawędy o Różnych Sprawach.

Tryumf katolicyzmu.

Prawosławne gazety rosyjskie biadają nad tem od dawna, że w krajach polskich co roku wielu ludzi przechodzi na katolicyzm, a rzadko się zdarzy, aby jaki katolik został schizmatykiem. Narzekają, że to temu winna agitacya księży polskich, nie chcą bowiem wiedzieć, że to prawdziwa wiara katolicka tak przyciąga wszystkich i że wkońcu przyjdzie czas, iż będzie, jak jeden Bóg, tak jeden tylko Kościół katolicki.

Do 30 kwietnia 1905 r. t. j. do czasu wydania przez cara ukazu tolerancyjnego czyli pozwalającego na wolność wiary w całej Rosyi a przedewszystkiem w Polsce nie wolno było przechodzić z wiary prawosławnej na katolicką. Kto przeszedł, to popełnił, zdaniem cara, zbrodnię i był za to ciężko karany. To też ludzie nawróceni z prawosławia na katolicyzm truchleli na myśl, gdyby się rząd rosyjski dowiedział, iż modlą się po katolicku i uznają za głowę Kościoła nie okrutnego cara, lecz papieża rzymskiego. Dopiero od r. 1905 nastały dla katolików lepsze czasy. To też gdy gruchnęła radosna wieść, że odtąd wolno katolikom otwarcie wyznawać swą wiarę, zaraz w pierwszym roku liczne tysiące ich wystąpiło z Kościoła prawosławnego, z którego dotąd bali się wystąpić i przeszło do Kościoła katolickiego.

Oto są cyfry. Już w pierwszym roku 1905 w samem Królestwie Polskiem przeszło z wyznania prawosławnego na łono katolicyzmu 146.367 osób, zaś na innych ziemiach polskich, Litwie i Rusi, 37.457 osób. Jak bardzo musieli ci ludzie tęsknić do świętej wiary katolickiej, kiedy, jak tylko ukazał się ukaz tolerancyjny, w tak ogromnej liczbie prawie naraz przystąpili hurmem do Kościoła katolickiego. Lecz i w latach następnych w r. 1906, 1907 i 1908 (z dalszych lat nawróceń na katolicyzm dotąd nie obliczano) ruch ten bynajmniej nie ustał. W tem trzechleciu przyjęło wiarę świętą w Królestwie Polskiem 21.971 osób, zaś na Litwie i Rusi 26.030 osób, razem więc na wszystkich ziemiach polskich pod zaborem rosyjskim odstąpiło od prawosławia i przyjęło wiarę katolicką 233.869 osób. Jest to potężna cyfra i świadczy o wielkiej potędze i tryumfie religii katolickiej. Bo też nigdzie w Polsce tak jak pod panowaniem rosyjskiem nasza wiara święta nie była tak okrutnie prześladowana. Już napisano całe książki o tem, jak przez całe sto lat rząd rosyjski i car gnębił wiarę katolicką, używając do tego najokrutniejszych środków. Któż nie słyszał np. o prześladowaniu Unitów Podlaskich, lub nie widział obrazów np. jak oddział kacapów rosyskich strzela do bezbronnego tłumu, który wyszedł z kościoła z procesyą. Ścielą oni ziemię trupami z modlitwą na ustach. Taki obrazek, na którym Moskale strzelają do modlących się Unitów umieściliśmy niedawno w »Roli«. Gnębili Moskale religię katolicką, lecz jej nie zgnębili, tak samo jak nie zgnębili Polaków, których setki tysięcy wymordowano i wysłano na Sybir na ciężkie roboty, nędzę, głód i zimno. I przyszedł czas, że ta właśnie religia katolicka, którą Moskal chciał przemocą zgnębić, odniosła tryumf i nietylko nie uszczupliła się, ale coraz bardziej rozszerza się i potężnieje. A i kultura i oświata polska kwitnie i da Bóg, że i ta Polska, niewinnie gnębiona a tak wierna zawsze Kościołowi i religii katolickiej, odzyska wolność i stanie się tak potężną i szczęśliwą jak niegdyś.



MACIEK BZDURA GADA:

Nastoł wielgi, twardy pust świenty bez śterdzieści dniów i nocy! W nocy to zeby ino zadna gowydź nie rusała człowieka, to moze pościć a chociaz się ta ośniywo, ze człowiek jy po dwa łokcie kiełbasy, po kilu grubej śpyrki, to tem nie zgrzysy, bo jak się obudzi, to jesce głodniejsy z takiego śnicio, chociaz się widziało, ze całą noc mioł bal i jad jaze zawiasy w gębie bolały.

Ale bez dzień to gorzy pościć! Gospodyni dadzą scyrbatą miseckę zacirki, potem zimnioków całyk ze zurem jałowych, jakiem w jesieni wykopał, to człowiek od głodu ino te większe zębami przetrąci a te mniejse całe połknie i głodny stanie od misecki, telo co się ino podraźni.

Ja nie wiem, cy moja gospodyni tak z pobozności daje mi mało jeść, cy tez od kciwości moze? Uni z gospodarzem to się wystarali u ksiendza o dyspensę, ze to niby sąm chorzy i ni mogą mało i lada cego jeść w poście. Opróc piątku i środy w kuzdy dzień jedzą mascone, nawet po kawałecku spyrki abo kiełbasy se przyjadają, bo zaźgali prośną świnię w zapust, co kciała zdechnąć od głodu. Z cały ty świnie to mi dali ino jedne kiske pęcokiem nadzianą! Ale chociaz jem ksiondz dał dyspensę, zeby te świnie spotrzebowali sami w poście, to Pon Jezus nie przystoł na to i skarał ich za kciwość. Pośli wcora gospodeni do komurki, zeby se spyrki na omastę upolić, a tu sie śpyrka zawiesona na ścianie jak zywo ruso!... Narobili gwałtu, jakby sie stodoła paliła! Gospodarz polecieli, co się stało w komorze a jo tyz ciekawy stanołem za drzwiami i słuchom, co nowego. A gospodarz hajze na gospodynią:

— A widzis, nie godołem ci, zebyś przyniesła trzy kilo soli! Tyś kupiła ino półtora kila i teroz mos! — Zatajało, ściepliło się i chrobaki spyrkąm rusają!

Śmiołem sie tyz śmioł potem w oborze po cichu, jaz mnie bańdzioch bolał. Pucowali pół dnia z gospodarzem te śpyrke i na nowo solili a gospodyni po tem niescęściu tak zmiękła, ze mi dawała ty spyrki kawałek i godała:

— Neści, Maciuś, skrzep się, dzisiok wtorek, to ci wolno zjeść.

Ale jo ni mioł ochoty na te śpyrke, inom jem podziękował:

— Ja ni mom dyspense, jak wy i postu nie złamię!

Wszyćkie połety, ka ino jaki, pisali do mnie wirsyki i powinsowania, na ostatku i ten Jantek z Bugaja tyz mi wysmarował wirsyk dokucny, ze mnie popamięta! Ale ja go naumyślnie dał wydurkować. Słuchajcie:

Oj! Maciek, nieruchało, leniu!
Ześ się ty jesce, jucho nie ozenił.
Nie ślubowałeś, zebyś dostoł żony,
Pewnieś do dziwek ty nie wydarzony!

Musi ci Maciek, cegosik brakować,
Kiedy zodno dziwka nie kce ci smakować...
Musi być z ciebie kupa niedołęgi!
Na ślub iś worto, boso przez ostręgi.

Słuchojże Maciek, co ci Jantek radzi,
Zawse nolezoł bedzies do celadzi!
Na Kapucyna nie rośnie ci broda,
Ozeń sie jus ros, bo cie Maciek skoda!

Hale! hale! hale! ciewy go! Jaki tyz ta mądry! Strasny połeta! Jo ten wirs obraźliwy naumyślnie doł wydurkować, a jak wydurkują, to go zaskardzę przez hadukata, natrzepie mu kostów i jesce do dziury wrazę! Niek se patrzy swoi baby, Magdy, kiedy taki wydarzony, ale mnie do ozeniacki nie naganio! Ciewy go! Niewydarzony Maciek ze mnie! Przecie mam obie ręce i obie nogi, zebem mógł cem babę uwalić abo i kopnąć, jakby trza było. A gembę tez mom, co potrafi za chłopów ścyrech zjeść. Hale! hale! hale!

Hej! wiosenka...

Hej! wiosenka miła płynie
Z za morza,
Bo ją do nas tu wysyła
Moc Boża.

Płynie hyżo, aby stoczyć
Bój z ziemią,
I uwolnić z więzów rzeki
Niech płyną...

I radosną wieść rozniosą
Po świecie,
Że wiosenne, ciepłe słonko
Już świeci.

Więc przybywaj do nas miła
Wiosenko...
Spuść nam złoty swój promyczek
W okienko,

Ustrój nasze niwy, łąki
W ruń, kwiaty —
Niech się w gaju rój rozśpiewa,
Skrzydlaty...

I dusz naszych porozświecaj
Ciemności,
Niech wypełzną z nich jak żmije:
Ból, złości.

A braterską miłość, z wiarą,
Wszczep w serce —
Niech nas dłużej już nie gnębią
Oszczerce...

Niechaj zgoda zapanuje
Na ziemi,
A złość ujdzie gdzieś szlakami...
Ciemnemi.

Stefania Szybowiczówna.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO PRZED BITWĄ.



Już taka nasza chłopska natura, a natura dobra, że w każdej chwili, czy to przed pracą, czy podróżą a nawet zabawą, zwracamy swe oczy do Boga, aby pracy naszej zechciał błogosławić i strzegł nas od przygód wszelakich. I ta miłość Boga, ta wiara głęboka tkwi w nas całą siłą, a choć wrogi nasze wszelakiego rodzaju zasłaniają nam krzyż Chrystusów, stawiając przed nami cielce złote i czerwone sztandary socyalistyczne, to jej wyrwać z głębi serc naszych nie mogą. A chociaż sługi szatana pienią się ze złości i jadem nienawiści obrzucają wszystko co święte, dusza polskiego chłopa pozostanie wierną Bogu, choćby nawet chwilowo o Nim zapomniał.

Jak my, tak i ojcowie nasi, a może oni jeszcze więcej nawet, w każdej potrzebie życia uciekali się do Boga, prosząc Go o błogosławieństwo w rozpoczętej sprawie.

Widzimy na obrazku, malowanym przez Piotra Stachiewicza, przodków naszych, którzy, gdy iść mieli w krwawy bój z wrogiem Ojczyzny, udali się najpierw przed próg kościoła, aby tam błagać w kornej modlitwie o pomoc Najwyższego.

Uklękli siermiężni bracia na ziemi, ku której pochyliły się ich głowy, a nad nimi sterczy las kos, sztorcem nasadzonych. Wyszedł kapłan z Najświętszym Sakramentem i błogosławi ich na ciężką walkę, błogosławi na śmierć może niechybną. Zapewne serce niejednego żywiej bić zaczęło, może niejednemu przyszło na myśl, że to ostatnie błogosławieństwo przed śmiercią, ale poszli wszyscy, aby walczyć i ginąć za Ojczyzną, bo to święty obowiązek, w razie potrzeby, dla każdego Polaka.

Skamieniałe miasto.

Płynie rzeka Biała z daleka, gdzieś od granicy węgierskiej, ze wsi Bieliczny, kędy orły przeglądają się w jej zwierciedle kryształowem, a dziki i wilki gaszą pragnienie w wodzie krynicznej. Płynie Biała wśród gór wysokich, przeskakując z kamienia na kamień, omija sioła ruskie, aż pod Chełmem wysokim napotyka pierwszą wieś polską, polskie śpiewy i lud polski i nie rozstaje się z niemi aż do ujścia swego pod Tarnowem. Płynie wartko popod Grybów, Bobowę i Ciężkowice, pomrukując, niby to echa wieków minionych unosząc na fali.

A ileż to już wieków minęło, jak Biała woda płynie i płynie? Ile wypadków zdarzyło się nad jej brzegami, ile przemknęło zdarzeń i utonęło w fali zapomnienia? Nawet wieść gminna, ta arka przymierza między dawnymi a nowymi laty, zdołała przechować tylko okruchy tragedyi dziejowych, bo wszystko zatarł czas siwobrody.

A całkiem inaczej było tu dawniej.

W Przylasku, po prawym brzegu rzeki, w gaju brzozowym piętrzą się teraz skały rozrzucone tu pojedynczo, to grupami, niby domy wielkie i małe. Kamień nazwany Cichowiec, z krzyżem na szczycie, wznosi się między niemi, jakby kościół ogromny, to znowu druga skała, niby zamek wysoki.

Cicho tu dzisiaj, jak w grobowisku wielkiem, tylko wiatr szeleści gałęziami brzozowemi; ale dawniej, przed lat tysiącem, był tu ruch wielki, wrzało życie i płynęło korytem szerokiem.

Stało tu miasto duże i bogate.

Pan zamku i miasta, bogaty dziedzic włości okolicznych, rycerz dzielny i znamienity, panował tu niepodzielnie i rządził nie zawsze mądrze, często brutalnie i gwałtownie. Nie cierpiał innej woli, innego zdania obok siebie; wszystko musiało mu ulegać w pokorze, bo inaczej kazał porywać ludzi i więzić w lochach podziemnych, grabić ich mienie, lub wieszać przed bramami kamiennemi zamku.

W gronie towarzyszów, jak sam dzikich i gwał-

townych, w czasie pokoju polował dni całe a noce przepędzał na hulance, pijatyce i rozpuście.

Biedni poddani, uciskani srogo, jęczeli w ciężkiej niedoli, płakali łzami krwawemi, dopraszając się zmiłowania. Ale tylko Bóg jeden łzy ich widział i liczył, lecz w nieprzebranem miłosierdziu swojem wyglądał upamiętania dziedzica.

Często pan zamku wyprowadzał rycerstwo swoje na dwory i grody sąsiadów i staczał krwawe boje, łupił, rabował, palił wokoło i dopuszczał się okrucieństw wszelakich, a z powrotem w swoim zamku silnym śmiał się dziko z łez i niedoli nieszczęśliwych.

Miał żonę piękną, jak rzadko, ale lekceważona przez męża, zaniedbana później, prześladowana wkońcu, przeniosła się tam, gdzie złość ludzka zamknięty ma przystęp na zawsze. Została po niej tylko córka jedyna, jedynaczka, cud dziewica, jakiej napróżnoby szukał w okolicy całej, w kraju dalekim.

Po śmierci żony rycerz szukał małżonki nowej wokoło, ale nie mógł jej znaleźć nigdzie, bo go znali wszędzie i drżeli przed nim wszędzie. Kipiał gniawem i dyszał zemstą, gdy swatowie wracali raz za razem z niczem, pił i hulał jeszcze namiętniej a poddanych uciskał jeszcze okrutniej.

Wreszcie, gdy już zabiegi wszystkie okazały się marne, aby panią nową wprowadzić na zamek, oświadczył rycerz córce swojej, że się z nią ożeni i kazał sposobić wszystko, co potrzeba na wesele świetne i wspaniałe. Przerażona dziewczyna, znając dobrze ojca dzikiego, wołała o ratunek do Boga, bo z innej strony pomoc przybyć nie mogła.

Więc wyczerpała się już cierpliwość Pańska, miarka nieprawości rycerza przepełniła się i nadszedł dzień sądu.

Gdy goście zasiedli do uczty weselnej, gdy rycerz obok córki swojej zajął miejsce za stołem, jako państwo młodzi, zerwała się burza straszna na świecie, chmury czarne zawisły nad zamkiem, noc ciemną rozświecały błyskawice światłem olśniewającem, a grom za gromem spadał na zamek i na całe miasto.

Na drugi dzień zorza poranna zaróżowiła niebios sklepienie, pierzchły ciemności nocne, ale zamku nie było już, ni miasta, rycerza, ni jego towarzyszy, ludzi ni zwierząt. Wszystko przepadło, tylko skały zimne, skały ciężkie, ciche skały zaległy okolicę martwą.

Skamieniało miasto wielkie i stoi kamienne pod Ciężkowicami po dzień dzisiejszy na przestrogę ludziom i ku ich zbudowaniu.

Gdybyś tam pod temi skałami kopał i chciał czynić poszukiwania, znalazłbyś ślady liczne dawnego gospodarstwa mieszkańców grodu zatraconego, natrafić nawet mógłbyś na kobietę dojącą krowę, dalej napotkałbyś wojsko śpiące, niemałe, które przebudzi się wtedy dopiero, gdy walka sroga wrzeć będzie na całym świecie.

Seweryn Udziela.

Tylem przebolał...

Tylem przebolał, ile serce zmieści,
Bo w życiu mojem były zawieruchy
Pełne rozpaczy i wielkiej boleści,
Jak sny cmentarne i cmentarne duchy...
Jednak te bole ja wszystkie przetrwałem
I żyję z sercem bolesnem, lecz całem!

I choćby miały przyjść takie męczarnie,
Bym do krwi ranić miał w rozpaczy palce,
Jakich zmysł ludzki nigdy nie ogarnie,
To serce moje nie padnie w tej walce
Lecz przetrwa wszystkie bole niewymowne,
Chociaż zbolałe, lecz jak stal hartowne.

Ant. St. Bassara.

Pokuta zakonnika.

Dwóch zakonników wybrało się na kwestę. — Przechodząc przez las ujrzeli na gościńcu stojącego konia znajomego chłopka i drzemiącego nad sianem. Chłopina tymczasem rznął w lesie jałowiec na biczyska. Więc zakonnicy mówią po cichu jeden do drugiego:

— Ty weź konia i zaprowadź do klasztoru a ja wdzieję z niego uzdę i stanę nad sianem przy dyszlu. Co też chłop na to rzecze, jak powróci i ciebie zobaczy.

Jak sobie umyślili, tak i zrobili. Jeden poprowadził konia a drugi stanął przy wózku nad sianem. Chłop powraca z lasu, niosąc na naręczu jałowiec i patrzy, a tu zamiast konia brat zakonnik stoi. Nie wie, co to może znaczyć, więc żegna się po kilka razy, co się to mogło stać? Ale się nareszcie przybliża i mówi:

— W imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen. — Czy mnie ślepia mylą, czy też naprawdę braciszek? Ale, jak Boga kocham, toć to braciszek.

A braciszek mu na to:

— Ano, mój kochany przyjacielu, Pan Bóg mnie skarał za ciężkie grzechy i zamienił w konia, żebym pokutował. Ale właśnie dzisiaj pokuta mi się skończyła, tak mnie Pan Bóg przemienił nazad w zakonnika. Ażeby wam nie zrobić kłopotu z wózkiem, to ja wam go już zaciągnę do domu.

— E! jakby to wyglądało, gdybym ja jegomością powoził, to ja sobie już dam sam z wózkiem radę. Alebym też jegomości prosił o wybaczenie — to mówiąc, schylił się niziutko do nóg zakonnikowi — żeby mi też jegomość wybaczyli, żem ta jegomościa nieraz dobrze grzmocił biczyskiem po zadku, bo ta co prawda powiedzieć, to ta czasem jegomość był i leniwy.

— No, dobrze, dobrze! bądźcież zdrowi, mój przyjacielu.

Chłop zaciągnął, jak mógł, wózek do domu, a zakonnik poszedł na kwestę.

Za tydzień wypadł jarmark niedaleko od klasztoru.

Zakonnicy kazali wyprowadzić konia na jarmark po pierwsze, aby się przekonać, czy go też chłop pozna, a po drugie, żeby mu zwrócić jego własność.

Naturalnie chłopina upatrywał, aby kupić jakiego konia. Chodzi po targowicy i upatruje, aże nareszcie nadszedł na swojego konia i poznał go odrazu, przypatrując mu się ze wszystkich stron. — Nareszcie przystępuje ukradkiem do niego i bierze go za ucho, szepcąc po cichu:

— Hej! a co tam znowu jegomość przed Panem Bogiem przeskrobali, że ich nazad w konia przemienił? Ale nie kupię już jegomościa! nie głupim, żeby mi znowu jegomość od wózka w środku drogi odeszli. Nie! nie kupię a nawet i za darmo jegomościa nie chcę, bo jakby się znowu jegomości zachciało popróżnować, tobym znowu musiał biczyska nie żałować, a to przecie nie wypada, bo to zawsze jegomość i to na pokucie.

Zakonnicy poczęli chłopu wyjaśniać, jakim podstępem dla żartu go podeszli, ale chłop ani sobie wspomnieć nie dał, i konia w żaden sposób wziąć nie chciał. Dopiero mu z klasztoru konia zapłacili, którego zostawili do użytku klasztornego.

Karol Powroźniak.

MĄDRY MACIEK.



W dawniejszych czasach i żydzi byli głupi, nie tacy, jak teraz, to dali się prędzej wywieść w pole, gdy chłop był mądrzejszy. Z tych to czasów można wiele ciekawych a śmiesznych gadek napisać.

Napiszę jednę o mądrym gospodarzu a głupim żydzie, którą sobie starsi ludzie opowiadali, a było to tak:

Żyła raz żydowska rodzina bardzo biedna a miała kilku synów. Wysłała ona jednego z nich najstarszego, Mośka, gdzieś daleko na zarobek. Ten, pojechawszy, trafił jakieś zajęcie, a że był tam kilka lat, więc zarobił dużo pieniędzy.

Po kilku latach miał powracać do domu z temi pieniądzmi, więc najął sobie furmana z tejże wsi, aby go odwiózł do domu, bo kolei nie było. Furman ten nazywał się Maciek a był bardzo mądry. Dowiedziawszy się, że żyd ten ma wiele pieniędzy, miał na nie chrapkę i całą drogę przemyśliwał, jakby je dostać. Żyd wiózł pieniądze w kuferku i dobrze je pilnował. Ale Maciek miał spryt wyśmienity, więc znalazł na to sposób.

Jadąc tak, przyjechali do jakiegoś miasteczka. Maciek został na wozie a żyd poszedł do miasta. Po chwili wrócił i przyniósł cztery małe bochenki chleba, które położył na wozie i znowu poszedł. Maciek, zobaczywszy chleb, wziął dwa bocheneczki i zjadł. Przychodzi żyd i pyta się go, gdzie się podziały dwa chleby. Maciek mówi:

— No, głupi żydzie! ot leżą dwa.

— Nu, nu, Macieju — mówi żyd — ja w mieście kupił cztery chleba, gdzie się podziały dwoi?

— No, głupi żydzie, o leży dwoje.

— Nu, nu, Macieju, jeszcze nie tak! Buliśmy w mieście, tak?

— Tak!

— Ja kupił czworo chleba, tak?

— Tak!

— No, a gdzie dwoi?

— E, głupi żydzie, ta o leży dwoje!

Żyd nie miał już co robić, siadł na wóz i pojechali dalej. Jadą, wyjechali na pola, gdzie rosło maku kilka zagonów. Czerwone kwiaty maku wyglądały jakby wojsko. Żyda zdjął strach, bo jeszcze nigdy nic takiego nie widział. Zaczął się więc pytać Maćka.

— Macieju, co to takiego?

— No, głupi żydzie — mówi Maciek żartem — to ułani, co bardzo nie lubią żydów.

— Nu, Macieju, gdzie ja si podzieję, bo ja si ich boję.

— Czy ja wiem, gdzie? O, cicho siedź, bo i ja się ich boję.

— Nu, Macieju, weźci worek tyn, co była sieczka dla koni, wsadźcie mnie z tym kuferkiem, zawiążcie, a jak się będą pytać, co wieziecie, to im powicie, że to dzwon i będzie dobrze.

Jak żyd chciał, tak Maciek zrobił, wsadził go w worek, zawiązał i jedzie dalej. Przyjechawszy do maku, sam krzyknął:

— Hej, gospodarzu, co tam wieziecie?

Żyd w worku był pewny, że to wojsko.

— Oj, panoczki — mówi pokornie Maciek znowu — ta dzwon.

— Spróbujemy, czy on dobrze dzwoni — mówi znowu Maciek, niby to żołnierz — i odpina orczyk od wozu i dalejże po żydzie raz, żyd zaraz w worku krzyknął na cały głos: »bęę« udając dzwon. Maciek znowu drugi raz, żyd: »gęę«. Maciek trzeci raz, a żyd tylko zawołał: »dzię«. Po chwili żyd woła:

— Nu, jak już nima nikogo, to mi wypuść.

Maciek rozwiązał worek i wypuścił żyda a ten mówi:

— Wicie Macieju, gdyby mnie buło jeszcze raz tak pałło, bułoby już po mnie.

Gdy przyjechali do jednej wsi, nikt ich tam nie chciał przenocować, więc musieli pod karczmą nocować. Żyd mówi do Maćka.

— Nu, Macieju, co będzie z mojemi pieniądzmi?

— Ja wiem co? — mówi Maciek.

— Wicie co, Macieju, weźcie, przywiążcie mnie do woza na śpagacie, ja będę szczekać, jak pies, to złodziej nie przyjdzie, bo się będzie bał.

Maciek tak zrobił, jak chciał żyd, a sam poszedł gdzieś położyć się spać. Około północy wziął sobie dobrą pałkę i idzie do wozu brać pieniądze. Żyd, który tam leżał pod wozem, zobaczywszy go, zaczął szczekać. Maciek żyda po głowie, po plecach pałką. Żyd widząc, że mu już bicie dobrze dopiekło, urwał się i uciekł hen gdzieś na łąkę. Maciej wziął kuferek, zaniósł go w znane sobie miejsce, zakopał i poszedł tam gdzie był. Rano przyszedł do wozu, jakby nic nie wiedząc. Żyd zaraz mówi do niego:

— Wis Macieju, pieniędzy niema.
— Było pilnować — mówi Maciek.
— Nu, jak zaczęło mi walić, to mało mi nie zabiło. Byłoby mi zabiło, ale ja się urwał i uciek. To wielkie ścięście, żeście mi na słabym sznurku uwiązali, to wam za to dziękuję. Ale ja się tem nie gryzę, że wzięło kuferek z pieniądzmi, bo ono mi musi oddać, bo nie odemknie, bo ja mam kluczyk.

Przyjechawszy do domu, zaczęli się go żydzi pytać o wszystko. Żyd im opowiedział, że zarobił dużo pieniędzy, ale mu je złodzieje ukradli, i opowiedział całą przygodę z Maćkiem. Żydzi mu mówią:

— Idź ty głupi Mośku! to ci sam Maćku pieniądze ukradł, tylko go podaj do sądu, to on ci je odda.

Mosiek usłuchał rady i podał Maćka do sądu gminnego, bo dawniej takich sądów jak dzisiaj nie było, tylko wójt wszystkie sprawy załatwiał. Maciek, gdy się dowiedział, że go żyd podał do sądu, poszedł potajemnie do tego wójta i obiecał mu dać połowę z tych pieniędzy.

Na drugi dzień zaraz przyszli obaj do wójta do rozprawy. Pyta się wójt Maćka, czy on to wziął pieniądze żydowi. Maciek nie przyznał się do tego, choć go po kilka razy pytał. — Wtedy mówi wójt do żyda:

— No, żydzie, może i Maciek nawet nie widział pieniędzy, bo się nie chce przyznać a świadków nie masz na to.

Ale żyd ciągle krzyczy, że to Maciek mu je wziął, tylko się nie chce przyznać. Wtedy wójt mówi do żyda:

— No, to ja dam Maćkowi karę, aby się przyznał.

Kazał swoim parobkom, aby przywiązali Maćkowi sznur przez pół i posadził go na przypiecku. Koniec sznura kazał przepuścić przez komin na dach a żydowi kazał wyleźć na dach i trzymać koniec sznura. Ponieważ sznur był krótki, żyd musiał głowę swoją wetknąć w komin na przypiecku. Maciek palił hreczankę, dym szedł prosto w oczy żydowi, a ten myśląc, że to Maćka tak przypiekają, zaczął krzyczeć:

— Aj waj, panie sędzia, niech mu pan już to podaruje, bo on nie wytrzyma.

Ale wójt tego nie słuchał i kazał jeszcze lepiej palić i mówił:

— Niech go dobrze piecze tego złodzieja Maćka.

Po godzinie takiej kary kazał wypuścić obydwóch na wolność. Maciek dał wójtowi co obiecał, wyśmiał się z żyda i odjechał, nie oddawszy mu nic Żyd został chory z tego dymu a po kilku tygodniach umarł.

W. K. L. J.

Legenda o krzyżodzióbku.

Gdy Zbawiciel w mękach niewysłowionych wisiał na krzyżu, padło spojrzenie bolesnych Jego oczu na małego ptaszka; siedząc na krzyżu daremnie próbował słabym swoim dzióbkiem wyciągnąć wielki, tępy gwóźdź, którym okrutni kaci przebili rękę Chrystusa Pana. Wzruszony współczuciem małej ptaszyny Zbawiciel, rzekł łaskawie: »Zato, żeś zlitował się nad cierpieniem mojem, będziesz miał odtąd dzióbek zakrzywiony na kształt krzyża, a na piórach twoich będą ślady mojej krwi, przelanej za grzechy ludzkie.

I odtąd ptaszek krzyżodzióbek ma dzióbek zakrzywiony i czerwone plamy na piórkach i śpiewa w głębi lasu swe miłe piosenki Bogu na chwałę a ludziom na pociechę.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Pan Łukasz Hryniecki na dobre się rozpanował w Stepanowie. Za bezpiecznego się uważając, po uwięzieniu Padygi i Karskiego, śmierć brata i całej rodziny ogłosił, a tem samem całą spuściznę na własność zagarnął. Zausznik starosty, Ożga, chcąc bezpieczeństwo więcej upewnić, posunął się w łotrostwie do dziwnej bezczelności. Namówił, za dobrą zapłatą, jednego z grabarzy, aby ciała zmarłej rodziny wyszukał i przy nich trupa kobiecego podrzucił, który udawać miał Anielę.

Starosta pogrzeb wyprawił suty. Sam za trumną szedł, żal okazując. Nikt nie wątpił, że z rodziny on tylko jeden pozostał.

Po pogrzebie na zameczku w Stepanowie zawrzało życie hulackie, rozwiązłe. Od rana do nocy ucztowano, pan starosta za swoim stołem, służba i darmojady (których wnet się nazlatywało moc), osobno. Ożga rej wodził wszędzie. Łba zadarł, chodził nadęty, nieledwie za pierwszą figurę się uważając.

Dwór nieboszczyka podczaszego, po większej części z ludzi uczciwych złożony, patrzył na to smutnie, atoli przeczyć nie mógł. Spadkobiercą był starosta prawym, wolę jego szanować musiano. Ten i ów szemrał, głos podnosił, milkł przecież wnet z obawy, aby chleba nie stracić.

O Padydze rozpuszczano pogłoskę, że sam z zameczku uciekł, bojąc się, by go starosta, z którym zawsze na udry był, nie prześladował.

Magda tylko, dowiedziawszy się od syna, że przy ciałach zmarłej rodziny podczaszostwa i Anieli trupa znaleziono, nie mogła z początku temu uwierzyć. Wkrótce jednak syn potrafił ją przekonać.

Jednem słowem urządził Ożga nader zręcznie, z czego był niezmiernie rad. Nie zapomniał też o Karskim, o którym powiadał, że wraz z Padygą wyjechał nie wiadomo gdzie.

Znalazła się przecież jedna osobistość, która w tej całej sprawie coś nienaturalnego upatrywała. Był nią Jakób Włabudowski, szczery przyjaciel Padygi, całem sercem mu oddany, sprawujący obowiązki rządcy na przyległym do Stepanowa folwarku.

Ożga, znając go jako sprzymierzeńca Padygi, miał się z nim na ostrożności, obiecując przy okazyi pozbyć się go; pan Jakób zaś widząc to, pozornie zmienił skórę, przerzucając się na stronę najlepszych jego przyjaciół. Manewrował tak zręcznie, że lis, choć szczwany, dał się podejść. Prawił Ożdze komplementy, kłaniał mu się, czem zdurzony, Ożga powoli przekonywał się do niego.

Podejrzenie pana Jakóba wkrótce zaczęło się niejako gruntować na acz nieznanej, wszelako na pewnej podstawie. Razu pewnego zaufany chłopak, którego przy sobie do pomniejszych usług trzymał, przyniósł mu ważną nowinę.

— Wy panoczku nie wiecie, co się na zamku stało? — począł do kładącego się na spoczynek Jakóba. — Mówił mi psiarek, że słyszał jak Maksym, co na zamku przy koniach chodzi, zalawszy pałkę przechwalał się, że gdyby chciał, toby wiele o pękatym Ożdzie rozpowiedział.

— To nie nowina. Ożga, łotr wierutny, o tem wiedzą wszyscy.

— Ale niech jeno panoczek słucha — przerwał chłopak — Maksym rozpowiadał jeszcze, że ani Padyga, ani ten szlachcic, który przyjechał do pana starosty i o śmierci podczaszostwa doniósł, nie wyjeżdżał ze Stepanowa.

Jakób siadł na łożu poruszony.

— Gadaj bo prędzej! — zawołał niecierpliwie.

— Niewiele więcej wiem, ino to, że podobno Ożga zamknął ich obu do loszku, gdzie siedzą po dziś dzień.

— Zamknął? — powtórzył Jakób.

— Tak Maksym powiadał. Czy prawda, tego psiarek nie wie, ani też nikt nie potwierdzał. Może po pijanemu coś mu się uroiło.

Odprawił pan Jakób chłopca, sam jął rozmyślać nad tem co usłyszał. W nowinie tej, która się z ust bezprzytomnego opoja wymknęła, dostrzegał nić wikłaniny, którą sam dawniej przeczuł.

— Hm... patronie mój święty, oliwa zaczyna na wierzch wypływać — kalkulował — sprawę przewiduję nieczystą, na co przysiągłbym solennissime. Wiadoma rzecz, o czem człek na trzeźwo myśli, to po pijanemu wygada.

Nazajutrz około południa do Stepanowa pojechał.

Była niedziela, ex re więc tego na zamku bawiono się szalenie. W obszernej komnacie jadalnej siedział przy zastawionym jadłem i napojem stole, pan starosta w gronie pochlebców, oraz przy asystencyi nieodłącznego Ożgi. Towarzystwo składało się z wszelkiego tałałajstwa, które rade basowało Hrynieckiemu.

Gdy Włobodowski wszedł do komnaty, wszyscy humory mieli różowe, śmiechy i trafne żarty rozlegały się bezustannie, kilku kozaków rozsadzonych po rozmaitych miejscach brzdąkało na instrumentach muzycznych, przyśpiewując półgłosem. Ten i ów z gości podciągnął śpiew od czasu do czasu, z czego tworzył się dziki jakiś gwar, sprawiający na trzeźwym przykre wrażenie.



...Kilku kozaków brzdąkało na instrumentach.

Sam starosta pąsową już miał twarz, oczy lśniące, językiem mlął dość niewyraźnie.

Zręczny Włobodowski potrafił się wkręcić tuż pomiędzy niego i Ożgę i na przywitanie z komplementami wystąpił.

— Do stop się ścielę JW. Pana — mówił z wielką rewerencyą — Przybywam złożyć mu służby powinne i pozwolenia prosić o łaskawe dopuszczenie mnie do przezacnej kompanii.

Starosta łbem kiwnął podłechtany gładkiem słówkiem, Ożga niezmiernie się skrzywił.

— Siadaj waść — rzekł pan Łukasz. — Ja się nie zamykam tak jak nieboszczyk podczaszy, u mnie serce otworem.

Nalał wina do kubka i zawołał.

— Mości panowie, wnoszę zdrowie JW. Pana starosty. Za moim przykładem kto go kocha.

I duszkiem zdrowie wychylił.

— Wiwat! JW. starosta!! — odkrzyknięto gromadnie.

Zaledwie się cokolwiek uciszyło Włobodowski znowu wstał i huknął w głos.

— Skoro mi racyę waszmość panowie przyznali, ośmielę się jeszcze raz do nich zwrócić. Któż nie wie, jak rzadką cnotą jest przyjaźń na świecie? Któż nie oceni tej cnoty i na jej widok głowy nie skłania? Owóż, mości panowie, widząc że zdanie moje podzielacie, zarówno się zgodzicie na uczczenie toastem obecnego tu JW. Pana Ożgi, który JW. Panu staroście tyle dowodów przyjaźni świadczył, nadto po dziś dzień świadczy. Zdrowie przezacnego Ożgi, niech żyje setne lata.

Wstał Ożga, dziękował, równie jak starosta ujęty.

— A wy niecnoty, grać mi głośno! — ozwie się starosta do kozaków — skocznego grać. Sypnę wam za to z pełnej garści. Instrumenty zadźwięczały głośniej, kompania się ożywiła. Starosta, przemilczawszy, do Włobodowskiego zwrócił.

— Mospanie, z ciebie, widzę, dobry chłopak, ino, powiedz mi, czemu dawniej takim nie byłeś?

— JW. Panie, kto przed piekłem służy, dyabłu świeczkę pali. To mus — odparł Włobodowski — człek jestem ubogi, fortuny zgoła nie mam, trzymać się musiałem klamki ś. p. podczaszego.

— To jeszcze nie dawało powodu, iżbyś waszmość na JW. Pana starostę i na mnie krzywem okiem patrzył — wtrącił Ożga z boku nadsłuchujący.

— Jako żywo! — krzyknął Włobodowski, okazując zgorszenie mocne. — Jako żywo... Musiałem się na stronie trzymać, to prawda, alem się nie boczył.

— Mnie się inaczej wydawało — szepnął półgłosem Ożga.

— Być może. Trzeba bowiem waszmość panu wiedzieć, że byłem szpiegowany.

— Nie rozumiem waszmości — rzekł Ożga.

— Każdemu wiadome, że za życia ś. p. podczaszego rej tu prowadził Padyga. Co chciał to robił, rządził jak na swojem. I ja też musiałem wedle jego skrzypki tańczyć.

— Skończyło się jego panowanie — wtrącił Ożga — teraz Padyga niestraszny.

— Chwała Bogu. Chwała Bogu! — mówił, zacierając ręce Włobodowski. — Kamień mi z serca spadł i jeżeli JW. Pan pozwoli, wychyliłbym kielich z tej racyi.

Tak prawiąc pochlebstwa, coraz bardziej zjednywał sobie pan Jakób starostę i Ożgę. Pod wieczór starosta przekonania do niego nabrał i do tego stopnia, że mu się wynurzać począł.

— Bądź takim jak powiadasz — rzekł wkońcu — a dobrze ci będzie. Kto ze mną trzyma, nie narzeka. Spytaj Ożgi. Chłop jesteś dobry i głowę masz — prawił pan Łukasz. — Z Padygą potrafiłeś ładzić, a szelma twardy był. jak niewygarbowana skóra. Dogryzł-ci i mnie, och! dogryzł. Alem się go pozbył. Ha, ha, pozbyłem raz na zawsze. Trafiła kosa na kamień i... przepadł Padyga z bebechami. Te-

razem tu sam pan... robię co chcę. Jedynym spadkobiercą jestem — Padyga... ha! ha! dobrze mu tak.

Wkrótce podniósł się Oźga i poszedł. Włobodowski widząc to, szepnął na ucho staroście.

— JWPan pozwoli mi chwilę poufnej rozmowy.

— A czego chcesz? He?

— Tu powiedzieć nie mogę, na osobności bym pragnął.

— Hm... na osobności... coby to mogło być? Tajemnica jaka? — Popatrzył się na niego starosta, wstał potem.

— No to chodź. Ino prędko powiadaj, żebyś mnie nie znudził.

Zaprowadził pana Jakóba do komnaty, niegdy za sypialnię podczaszemu służącą.

— Gadajże teraz. Jesteśmy sami — rzekł.

Włobodowski odchrząknąwszy tak począł.

— Owóż dowiedziałem się przypadkiem o pewnej kwestyi, którą z obowiązku muszę JW. Panu zakomunikować. Chodzą pogłoski, że Padyga siedzi uwięziony na zamku — tajemniczo szepnął Włobodowski, uważając bacznie, jakie wrażenie sprawi ta wiadomość na staroście.

Ten w istocie poruszył się nader żywo.

— Jakto, powiadasz waszmość — wybełkotał.

— Powtarzam to, com słyszał.

— Ale któżby u kaduka mógł się dowiedzieć, kiedy żywej duszy przy tem nie było — mimowoli zawołał pan Łukasz.

Włobodowski, usłyszawszy to, o mało w głos nie krzyknął.

— Umyślnie przybyłem, aby ostrzedz JWPana. Ludzie gadają teraz cichaczem, następnie coraz to głośniej sprawę podniosą, a wkońcu...

— Oh! ten Padyga nawet teraz pokoju mi nie daje — mruczał starosta, nie wiedząc sam co mówi — Oźga barani łeb, zaręczał, że nikt nie wie... Hm... loszek ukryty, sam on tylko do nich zachodzi. Skąd mogliby się dowiedzieć?

— A gdzież on loszek? — wtrącił ciekawie Włobodowski, widząc, że starostę napój oszołomił zupełnie.

— Loszek? no ten, w którym podczaszy klejnoty przechowywał. Nikt prócz Oźgi tam nie zagląda.

— Może się Oźga przed kim wygadał mimo chęci — zauważył Włobodowski.

— Oźga? Hm... Oźga... dałżebym ja mu, dał!! Pewnieby ruski miesiąc pamiętał — pogroził starosta. — Ano co mi tam! Niechaj gadają co chcą — Padygi nie wypuszczę. Chciał na udry ze mną, sam sobie winien. Siedzi teraz z tym... tym... czort wie, jak mu tam... sam sobie winien.

Sapnął, wstał, rękę na ramieniu pana Jakóba położył, mówiąc.

— Nic złego, żeś mi o tem powiedział, ale to mnie ani ziębi, ani grzeje. Jam tu pan i kwita. Tak ma być jak ja chcę, a kto nie słucha... precz, fora ze dwora! Chodź do stołu.

Rad nie rad poszedł za starostą pan Jakób.

W komnacie jadalnej towarzysze starosty zabawiali się w najlepsze. Nie widziano nawet, jak gospodarz wyszedł, nie zauważono też jego powrotu.

— Widzisz — mówił rozmarzony starosta do pana Jakóba, wskazując mu kompanów — wszystko to moi. Palcem kiwnę, a skakać będą, jak zechcę. Padyga przy nich... ot co znaczy.

Dmuchnął na wyprostowaną dłoń i ramionami ruszył. Siadł za stołem starosta, na kozaków krzyknął, by grali, za kielich ujął.

Włobodowski po chwili wysunął się cichaczem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Unia katolicka. Od kilku lat przemyśliwają w Austryi nad połączeniem się wszystkich stowarzyszeń katolickich w jeden wielki związek katolicki czyli Unię katolicką. Dawniej takie łączenie się katolików nie było potrzebne, bo nie było w Austryi tak wielu wrogów Kościoła katolickiego. Obecnie jednak, kiedy tyle się namnożyło socyalistów, masonów, a przedewszystkiem odkąd żydzi rozpoczęli tajną i jawną walkę z Kościołem katolickim, potrzeba jest koniecznie takiego związku, w którymby jak najwięcej katolików obejmował, aby wspólnemi siłami mogli się łatwiej bronić. Unia katolicka, nad której organizacyą pracują od kilku miesięcy, nie będzie miała charakteru politycznego, lecz wszystkich będzie łączył jeden węzeł, że są katolikami, którzy chcą bronić swej wiary.

Obowiązkowa nauka w Rosyi. Za przykładem wszystkich kulturalnych krajów europejskich, które od dawna mają u siebie obowiązkową naukę w szkołach ludowych poszła nareszcie i Rosya. Duma rosyjska uchwaliła przed kilku dniami przymusową naukę elementarną, lecz na ten cel ofiarowała stosunkowo bardzo małą sumę, bo tylko 10 milionów rubli rocznie. W Austryi od dawna istnieje przymusowa nauka dla dzieci od lat 7 do 14. W Galicyi jednak wielu włościan nie zna dotąd tego wielkiego dobrodziejstwa nauki i nie posyła dzieci regularnie do szkoły, nawet mimo kar. Pomimo to kraj się bardzo stara o oświatę, dość powiedzieć, że Galicya wydaje, stosunkowo do swojej wielkiej biedy, ogromnie dużo na oświatę, bo około 25 milionów koron t. j. przeszło trzecią część całego swego dochodu.

Niepewna rzeczpospolita. Niedawno ogłoszono Portugalię rzeczą pospolitą a król podczas rewolucyi musiał się ratować ucieczką. Rewolucya ta była wyjątkowo bezkrwawa, republikę ogłoszono bez żadnych większych rozruchów myślano, że po kilku miesiącach uspokoiło się wszystko i rzeczpospolita zdawała się dogadzać wszystkim. Tymczasem przed kilku dniami wykryto w stolicy Portugalii, w Lizbonie, wielki spisek przeciwko nowej rzeczypospolitej. U jednego ze spiskowców znaleziono pisma, z których wynika, że spiskowcy chcieli pozyskać dla siebie wojsko za pomocą pieniędzy a następnie kiedyby się upewnili, że wojsko nie będzie przeszkadzać, chłopi ze wsi okolicznych mieli wpaść do miasta i przywrócić monarchię. Spiskowcy cały nowy rząd skazali na śmierć. Zamiar spiskowców, dla którego wykonania zebrali bardzo wiele pieniędzy, więc się nie uda.

Wielką wrzawę w całym prawie świecie wywołało zmobilizowanie wojska Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki i wysłanie go na granicę Meksyku, kraju leżącego na południe od Stanów Zjednoczonych i rządzącego się dotąd samowolnie. — Wszystkie państwa myślały, że Stany Zjednoczone wyprawiły się z wojskami w tym celu, aby podbić Meksyk. Uspokoiły się dopiero, gdy Stany Zjednoczone oświadczyły, że takiego zamiaru nie mają, lecz że chcą tylko nie dopuścić do powtórnej rewolucyi w Meksyku, która mogłaby się bardzo krwawo skończyć dla obywateli Stanów Zjednoczonych, zamieszkałych w Meksyku i dla wszystkich obcych. W Meksyku teraz wrze bardzo, są ciągle rozruchy wśród ludności i wojska i wszyscy obcy, tam zamieszkali, są niepewni dnia, ani godziny. Wogóle w Ameryce we wszystkich mniejszych państwach są częste niepokoje. Jednak obecnie podejrzywają Stany Zjednoczone, że mają coś innego na celu.

KRONIKA.

Chłopski dobrodziej. W sądzie kołomyjskim odbyła się niedawno rozprawa o lichwę przeciwko Izakowi Eisenbergerowi z Włóczkowic w powiecie śniatyńskim. »Dobrodziej« ten pożyczał wieśniakom, emigrującym do Kanady, sumy od 80 do 92 koron. Kwot tych pożyczał zawsze na 6-miesięczny termin a liczył sobie tylko po 20 do 50 procent. Przy przedłużeniu terminu pobierał tylko 70 proc. Jednemu z poszkodowanych, których liczba około 30, pożyczył Eisenberger 140 kor. na weksel, ale wypłacił mu tylko 100 kor. a 40 odtrącił sobie za procent. Po 6 miesiącach chłop ów, nie mogąc spłacić długu, podpisał weksel zamiast na 100 na 200 kor. Rozumie się, że chłop był winien tylko tych 100 koron, które otrzymał w gotówce przy podpisaniu pierwszego weksla. Po następnych 6 miesiącach weksel ze 140 kor. urósł już do 300 kor. i tak rósł dług coraz wyżej, aż ze 100 kor. wziętych w gotówce, urosła suma 1020 kor. Tak więc chłop za otrzymane 100 kor. winien był żydowi 1020 kor. Po przeprowadzonej rozprawie trybunał skazał żyda na 5 miesięcy zwykłego więzienia. To mało, powinien był otrzymać z 5 lat!

(K. T.) **Nieszczęśliwy wypadek.** W Miechowicach wielkich, powiatu dąbrowskiego, dnia 11 bm. chłopak 19-letni Ludwik Kuczak, mając rewolwer, manipulował nim tak nieszczęśliwie, iż tenże wypalił przez okno, raniąc przechodzącego drogą 10-letniego chłopca Stanisława Wodkę w głowę. Chłopca, po prowizorycznem opatrzeniu przez Dra W. Knauera, lekarza miejskiego z Radłowa, odwieziono do szpitala w Krakowie w stanie niebezpiecznym.

(Z. B.) **Dziwoląg.** Pewien wieśniak z Czeremchy dorżnął chorą krowę przed ocieleniem. Po rozebraniu krowy znaleziono we wnętrznościach cielę bez głowy. Tył cielęcia był rozwinięty naturalnie, lecz z przodu, gdzie miała być głowa i szyja, znajdował się otwór, z którego zwisał podwójnie rozszczepiony język, na grzbiecie wyrosła jedna noga przednia; druga naturalnie zwisała. Mnóstwo ludzi podziwiało ten wybryk natury.

(J. W.) **Zaczadzenie.** W nocy z dnia 9 na 10 marca b. r. w zamku p. Zipsera w Czechowicach, wskutek trującego gazu, dobywającego się z pieca koksowego, zaczadziły się dwie kobiety, śpiące w pokoju. Rano przywołany lekarz Dr. Hess przyprowadził obydwie do przytomności z wielką trudnością.

Cygan w worku. Któż nie zna tego próżniaczego i wiecznie po świecie włóczącego się narodu? Często cyganie węgierscy nawiedzają nasze wsie, a gdy tylko pode wsią rozbiją swoje płócienne szatry, zaraz ukazują się na drogach i ścieżkach cyganki z dziećmi, zdążające do chałup, gdzie młodym dziewczętom i gospodyniom wróżą z dłoni, plotąc niestworzone historye o przyszłości, o szczęściu, o oczekującym majątku lub dobrem zamęźciu, a proszą za to czy o pieniądze, czy o chleb, mleko, czy o wiązkę siana dla koni. Zazwyczaj giną kury i kaczki w tych wsiach, w pobliżu których zatrzymali się cyganie, giną też nieraz i konie. Cygan ma już to we krwi, że na miejscu nie usiedzi, ciągle musi włóczyć się po świecie, a porządnej, codziennej pracy za żadne pieniądze imać się nie chce. Raz, podczas budowy kolei, potrzeba było ludzi do roboty. Inżynier, kierujący budową, spostrzegłszy w pobliżu namiot cygański, poszedł tam i zapraszał cyganów do roboty, obiecując dobre wynagrodzenie. Na nic nie zdały się jego namowy, do pracy ruszyć się nie chcieli. Na wszystko, co im mówił, odpowiadali:

— Nie, panie, my wolni ludzie.

Ładna wolność, żeby nie pracować, tylko kraść i żebrać. Ale zato niewyczerpani są w pomysłach, jakby to lub owo zgrabnie zwędzić, byle tylko zdobyć co do życia potrzeba, nie pracą, lecz przemysłem złodziejskim. Raz, zatrzymawszy się w jednej wsi węgierskiej, dowiedzieli się, że jest tam gospodarz, co ma pieniądze w komorze, ale że to człowiek przezorny i pilnie się na noc zamyka, a przytem ma złego psa. Z psem poradzili sobie odrazu, bo go otruli. W parę dni przychodzi do tego gospodarza trzech cyganów, niosąc ciężki worek, z prośbą, aby był tak grzeczny i pozwolił im złożyć ten worek w izbie albo w sieni, a oni, wracając z miasta, gdzie szli za interesem, zabiorą go sobie. A w worku nie było ani kaszy, ani ziarna, tylko siedział cygan, który w nocy miał wyjść i drzwi im otworzyć do komory. Wówczas kilkunastu cyganów miało owego gospodarza i jego córkę związać, zakneblować im usta i przetrząsnąć komorę. Łatwowierny wieśniak worek, który cyganie postawili koło pieca, przyjął, poczem poszedł w pole. Córka, zostawszy sama, w pewnej chwili posłyszała jakieś podejrzane sapanie w worku. Odrazu jej się to nie spodobało, zdjęta więc strachem, że jakiś cygan tam siedzi, a ona sama w chacie, — porwała fuzyę i wypaliła do worka.



Obrazek nasz przedstawia, jak cyganie proszą o zatrzymanie worka, drugi zaś, jak dziewczyna weń strzela. Ledwo wypaliła drzwi się raptownie otwarły i wpadł zdyszany gospodarz.

— Kto tu strzelał? — pyta przerażony.

— Ja!

— Ty? Poco? Czyś oszalała? Przecież nikogo tu niema!

— Albo może i jest — odparła rezolutnie. — O tu, w tym worku! Coś w nim sapało — myślę: pewnikiem cygan, zbój, więc i wypaliłam. Cóż, może miałam czekać, jak z worka wylezie i na mnie się rzuci? Obejrzyjcie tatusiu.

Ojciec worek odwiązał — i zbladł z przerażenia. W istocie był w nim cygan — lecz już nie żył. Dziewczyna trafiła go w głowę i cygan zaraz ducha wyzionął.

Bandytyzm w Królestwie. Onegdaj po godzinie 12 w południe wyszedł z gmachu składów monopolowych w Płocku zarządca składów Klepacki z pieniądzmi do kasy gubernialnej. Zaledwie odszedł kilkanaście kroków, gdy dwaj mężczyźni chwycili go pod ręce i wciągnęli w pobliskie podwórze, wyjęli szybko z bocznej kieszeni surduta 1.180 rubli i umknęli, pozostawiając przerażonego w podwórzu. Na miejsce rabunku przybyła policya oraz oddział dragonów, ale na ślad bandytów nie natrafiono.

Zaręczyny starca. Profesor na uniwersytecie w Heidelbergu i obywatel honorowy tego miasta, Dr. Emanuel Becker, zaręczył się w tych dniach, choć liczy już 83 rok życia. — Oby tylko dożył do ślubu!

Śmierć dziecka w płomieniach. Zostawianie dzieci samych w mieszkaniu, tak po wsiach jak miastach, powoduje często okropne wypadki. Rodzice pracujący ciężko na kawałek chleba, zmuszeni są co dnia dom na szereg godzin opuszczać, a dzieci bez dozoru bywają nieraz ofiarami czy to lekkomyślności własnej, o co zresztą trudno je winić, czy też wypadków, kończących się śmiercią. — Niedawno w Wiedniu, w mieszkaniu pewnego robotnika fabrycznego, gdy ojciec i matka poszli do roboty, zostało dwoje dzieci: 5-letnia dziewczynka i 15 miesięczny jej braciszek. Dziewczynka miała polecone uważać na gotujący się obiad na żelaznej kuchence, który matka nastawiła. W piecu było dużo ognia, dziecko otworzyło więc drzwiczki, by z garnków nie kipiało ciągle.



W pewnej chwili zbliżyło się do otwartych drzwiczek za blisko, tak, że zajęła się na niej spódniczka i zanim zrozumiała co się stało, w momencie płomień objął nieszczęśliwe dziecko. Na przeraźliwy krzyk poparzonej i małego braciszka zbiegli się sąsiedzi, ratując biedną ofiarę ognia, sprowadzili wkrótce lekarza, lecz poparzenie było tak ciężkie, że nieszczęsna dziewczynka w paru godzinach wyzionęła ducha. Widzimy na naszym obrazku pierwszą chwilę, gdy gwałtowny ogień naraz objął dziecko, które padło na ziemię, a sąsiedzi zaczynają przybiegać z ratunkiem.

Ukazanie się ducha. W tygodniku »Życie świętych«, wychodzącym w Warszawie, zamieszczono opis, który osoby, zajmujące się zjawiskami nadzwyczajnemi niewątpliwie żywo zaciekawi.

Otóż rzecz się działa u pp. Brodowskich w ich wsi, w pow. borysowskim, gub. mińskiej.

Jeden z sąsiadów pp. Borysowskich, p. Michał Kuerster, często bywający w ich domu, rozmawiał nieraz z córką panną Maryą o rzeczach nadprzyrodzonych. Oboje lubili zagłębiać się w tego rodzaju kwestyach i, podczas jednej pogadanki o życiu pozagrobowem p. Kuerster przyrzekł, że w razie skonu nie omieszka ukazać się p. Maryi po śmierci.

W lecie roku ubiegłego ów Kuerster umarł.

W tym czasie do pp. Brodowskich przybyła w gościnę druga córka mieszkająca w Warszawie, a jadąc z dziećmi na wakacye wzięła z sobą służącą. Dziewczyna ta nigdy nie widziała p. Kuerstera i nie wiedziała nawet o jego istnieniu i zgonie.

Pewnego dnia, wkrótce po przybyciu do wiejskiej siedziby pp. Brodowskich, dziewczyna owa ujrzała o godzinie 4 na kurytarzu jakiegoś nieznanego pana. Ogarnął ją lęk, gdyż pierwszą jej myślą było, że mógł się wkraść jakiś złodziej lub bandyta.

Nieznajomy nie cofnął się na widok zalęknionej dziewczyny, ale rzekł do niej:

— Nie bój się, powiedz pannie Maryi, że się ukazał Michał Kuerster i zapytaj, czy się go bardzo lęka?

Dziewczyna jeszcze bardziej przerażona tem dziwnem zjawiskiem, poczęła krzyczeć, zbiegli się domownicy, słysząc ów hałas, a gdy dowiedziano się, jak się rzecz miała, wszyscy byli pod silnem wrażeniem opowiadania służącej, ponieważ wiadomem było, że nie mogło to być bajką, ani złudzeniem wzroku i słuchu wobec tego, że dziewczyna owa Kuerstera nigdy w życiu nie widziała, a jednak wypytywana, jak wyglądał nieznajomy, opisała najdokładniej postać zmarłego.

W kilka dni później Kuerster ukazał się jej powtórnie. Tym razem rzekł:

— Powiedz pannie Maryi, że jest Bóg i sąd Boski straszny!...

Za trzecim razem powiedział znów tejże dziewczynie:

— Przykro mi jest, że mnie się tu boją, gdyż jestem przyjacielem ich domu, ale wobec okazywanego lęku więcej się już nie ukażę.

Dziewczyna opowiadała, że widziane przez nią zjawisko miało chustką podwiązaną szyję. Szczegół ten tem bardziej upewnił wszystkich o wiarygodności jej opowiadania, że istotnie, jak się okazało, zmarłemu chustką podwiązywano gardło, wkładając go do trumny, w celu przykrycia rany.

Walka z przemytnikami. W nocy z wtorku na środę na pograniczu między Kocmyrzowem a Proszowicami przyszło do starcia między strażą graniczną rosyjską a przemytnikami. Wymieniono kilkanaście strzałów. Przemytnicy uciekli, zostawiając towarów na kilkanaście tysięcy rubli.

Niedźwiedzie zbuntowały się! Przed kilku dniami przybył do Warszawy wagon z sześciu niedźwiedziami, zamkniętemi w wielkiej klatce. Wysłane one były przez hr. Uwarowa za frachtem pospiesznym przez Aleksandrów pograniczny. Zgłodzone i znużone długą podróżą niedźwiedzie, rozwaliły klatkę i wydostały się do wagonu, a następnie wybiły szybę i deski w przegrodzie, szukając wyjścia na swobodę. Zarząd stacyi towarowej, otrzymawszy w takim stanie wagon z niezwykłymi podróżnymi, odmówił przyjęcia »ładunku« i odesłał go z powrotem na stacyę Brzeską kolei Nadwiślańskiej. Wezwani dopiero specyaliści z cyrku Cinisellego zajęli się schwytaniem niedźwiedzi i umieszczeniem ich w nowej klatce. W dalszą drogę wysłano już niezwykłych pasażerów pod dozorem przewodnika. To także postęp!

Oryginalna przygoda. Pewien kolejarz, zamieszkały w pobliżu Skarżyska wybrał się do Końskich z dzieckiem do chrztu. Jechał saniami. Ponieważ było więcej osób, urządzono na saniach dwa siedzenia, na przedniem usiadł szczęśliwy ojciec ze swą krewną, na tylnem zaś zajęły miejsce kuma i »babka« z dzieckiem. Wyjechali ku miastu i byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że tylne siedzenie było do sań za słabo przymocowane i gdy jakiś ulicznik uczepił się go, chcąc kawałek drogi się przejechać, siedzenie się urwało i »babka«, kuma i dziecko wypadły wraz z siedzeniem do śniegu. Jadący na przedniem siedzeniu nie zauważyli całego wypadku; dopiero po chwili kolejarz oglądnąwszy się, z przestrachem spostrzegł zniknięcie towarzystwa.

Wilki w Rosyi. Wskutek olbrzymich śniegów i silnych mrozów, jakie panowały w ostatnich tygodniach na południu Rosyi, pojawiły się w pobliżu miast i osad gromady wilków, które zagrażają życiu mieszkańców wsi, napadając nocą a nawet dniem na osoby, niebacznie wysuwające się na pewną odległość od domów. Według doniesienia pism rosyjskich, ofiarą zgłodniałych zwierząt padło już kilkaset osób. Między innymi zamieszczają pisma wstrząsający opis

zdarzenia, które miało dotknąć mieszkańców jednej z wsi w okolicy Taszkentu.

Do miasta, oddalonego o 20 wiorst, ruszył ze wsi saniami orszak weselny, składający się z około 120 osób. W połowie drogi napadła nań gromada wilków; rozpoczęła się szalona ucieczka; dla ratowania się i wstrzymania pościgu wilków, jadący w ostatnich saniach wyrzucać mieli kobiety na łup zgłodniałym wilkom. Strasznego losu nie uszła jednakże i reszta orszaku. W jedynych saniach, które dotarły do miasta, znaleziono tylko dwie osoby na pół żywe z przerażenia.

Zdradziecka kra. W pewnej nadmorskiej miejscowości Norwegii zdarzył się ubiegłej zimy przerażający wypadek. Dwustu kilkudziesięciu rybaków na olbrzymim odłamie lodowym tuż przy brzegu pracowało około rąbania przerębli dla łowienia ryb. Wszyscy tak byli zajęci robotą, że nie zwrócili uwagi, iż olbrzymia płaszczyzna lodowa w pewnej chwili oderwała się od brzegu i poczęła wraz z nimi odpływać. Gdy jeden z nich odwrócił się w kierunku lądu i spostrzegł, że na krze lodowej, niby na olbrzymim promie, są już daleko od brzegu i zawołał z przerażeniem: »Patrzcie, gdzie jesteśmy! wszyscy zginiemy!« Nieopisana rozpacz ogarnęła nieszczęśliwych ludzi. Byli jednak zupełnie bezradni. Wywieszali wprawdzie raz po razu na wysokich żerdziach, przymocowanych do łódek płótno, wołali na cały głos, lecz brzeg był pusty, nikogo w pobliżu, nie można więc było myśleć o pomocy. Na domiar nieszczęścia zerwał się silny wicher i pędził krę coraz dalej od brzegu; kra zaś, uderzając bokami o inne pływające po wzburzonem morzu odłamy lodowe, urywała się i ustawicznie i rybacy skupiali się już na coraz mniejszej płaszczyźnie. Tak upływały godziny w nieopisanej trwodze i grozie, o której nikt pojęcia mieć nie może, kto w podobnem niebezpieczeństwie się nie znajdował. Wykrzykom rozpaczy, łzom, nawoływaniom imion najdroższych osób, pozostałych we wsi żon, dzieci, rodziców, końca nie było.



Wreszcie jakby równocześnie jedną myślą natchnieni, zaczęli gorąco się modlić o ratunek. Ludzka moc, zdało im się, ocalić ich nie może — Boska cudu tego chyba dokonać mogła. Upłynął już bowiem dzień cały prawie, a oni znaleźli się tak daleko na coraz już mniejszej krze lodowej, że niechybna śmierć ich czekała. Bóg jednak widocznie nie opuścił biedaków, bo gdy już zupełnie stracili nadzieję ocalenia, ujrzeli zdala wśród mgły zbliżające się światła. Były to liczne łodzie ratunkowe, wysłane po nich ze wsi, gdzie wreszcie spostrzeżono ich zniknięcie. Szczęściem łodzi było tyle, że wszyscy się na nich pomieścili i wrócili szczęśliwie w nocy do domu, witani przez rodziny łzami nieopowiedzianego szczęścia. Było to bowiem naprawdę cudowne ocalenie. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy pierwsza łódź, wioząca im wybawienie, zbliża się chyżo, a uradowani rybacy witają ich radośnie.

Rozszarpany przez wilki. Na granicy powiatów lidzkiego i słonimskiego wilki napadły na przejeżdżającego żandarma gminy nakryskiej Rafałowicza. Trzech wilków R. zarąbał szablą, reszta zaś rozszarpała go.

Koniec bandyty. Wiadomo, jak śmiałymi i niebezpiecznymi są bandyci włoscy. Niedawno we Włoszech południowych młody bandyta, nazwiskiem Birbiglia, dokonał dla rabunku trzech okrutnych morderstw i obłowiwszy się pieniędzmi zbiegł w góry, aby go policya nie mogła ująć. Istotnie mijały tygodnie a mimo energicznych poszukiwań żandarmów włoskich, zwanych karabinierami, nie natrafiono na ślad Birbiglii. Mieszkańcy też dopomagali żandarmom, objaśniając w przeszukiwanych okolicach, czy ktoś podejrzany tam się nie błąka, lecz wszystko nadarmo. Nareszcie dopadli ptaszka. Ukrywał się w pewnym domu za wsią, zamieszkałym przez podejrzanych ludzi, w pobliżu miejscowości Trapani. — Przed wieczorem otoczyli dom. Bandyta ujrzał ich przez okno i w szale rozpaczy wybiegł strychem na dach, skąd zaczął strzelać do oblęgających. Szczęśliwie strzały jego nie były celne, nikogo nie zabił, nawet nie zranił. Natomiast jeden z żandarmów wycelowawszy dobrze, trafił go w pierś i zabił na miejscu. Na obrazku naszym widać, jak rabuś, stojący na dachu, otrzymał strzał śmiertelny, zachwiał się i zaraz padnie martwy na ziemię.



Tragedya miłosna w Rzymie. Jak donoszą z Rzymu rozegrała się tam w pewnym hotelu krwawa tragedya miłosna pomiędzy porucznikiem kawaleryi baronem Wincentym Paterno i hrabiną Julią Trigona, która pierwej była damą dworu a od niedawna żyła w rozłączeniu z mężem. Baron Paterno sztyletem poderznął gardło hrabinie a następnie do siebie strzelił z rewolweru w głowę. Ciężko rannego przewieziono do szpitala. Bar. Paterno i hr. Trigona byli bardzo młodego wieku. Hr. Trigona była siostrą byłego posła socyalistycznego księcia Cuto.

Jak donoszą dzienniki włoskie, bar. Paterno około południa poszedł do hotelu i wynajął pokój, w pół godziny potem przybyła hrabina, nadzwyczaj elegancko ubrana. Oboje na pozór zachowali zupełny spokój, zamknęli się w pokoju. Około kwadrans na drugą popołudniu służba hotelowa usłyszała strzały. Wyważono drzwi i znaleziono hrabinę z poderżniętem gardłem na łóżku. Paterno ranny od postrzału w okolicy ucha, leżał na ziemi z rewolwerem w ręku; jak się zdaje rana jego nie jest śmiertelna.

Zwierzęta nie ludzie. W miejscowości Areso, w pobliżu Medyolanu, odkryto zbrodnię, nie notowaną może jeszcze nigdy w rocznikach kryminalnych. Przed kilku dniami zmarła w Areso na zapalenie płuc młoda, przystojna dziewczyna. Zwłoki jej pochowano na miejscowym cmentarzu. Onegdaj, gdy grabarz cmentarny przechodził około grobu, zauważył, iż mogiłę ktoś w nocy rozkopał. Gdy podszedł

bliżej skonstatował, że w grobie znajduje się tylko trumna, trupa zaś skradziono. Przerażony grabarz rozpoczął długotrwałe poszukiwanie po cmentarzu — zakończone wreszcie odnalezieniem zwłok. Trup wisiał na drzewie głową na dół i był strasznie zeszpecony. Klatka piersiowa była otwarta. Okazało się, iż zwłoki wydobyli z grobu nieznani bliżej mężczyźni, którzy wydobyli z nich serce dziewczyny. Przy bliższych poszukiwaniach znaleziono serce w krzakach. Straszna zbrodnia wywołała w okolicy ogromne oburzenie. Zawiadomiona o zajściu policya w Medyolanie rozpoczęła za zbrodniarzami poszukiwania. Początkowo przypuszczano, iż zbrodni dopuścił się w napadzie szału narzeczony zmarłej, Cousonni, jednak śledztwo wykazało, że nie on ponosi winę tej zbrodni. Przy dokładnem przeszukaniu cmentarza znaleziono w pobliżu grobu szkaplerz, zdarty z trupa dziewczyny. Zmarła słynęła z piękności na całą okolicę. Do czego to już nie dochodzi zwyrodnienie ludzkie, gdy nawet grobom nie dają spokoju.

Kto najbrzydszy? Nieraz czyta się w gazetach, że w tem lub owem mieście francuskiem, angielskiem czy niemieckiem urządzono konkurs piękności. Znaczy to, że kilku czy kilkunastu malarzy i rzeźbiarzy tworzy sąd oceniający, która ze stawających przed nimi pań jest najpiękniejszą. Tej przyznaną zostaje nagroda najczęściej w postaci pięknego upominku ze złota. Urządzają też czasem konkurs piękności dzieci; dziecko uznane za najładniejsze dostaje zabawki. Ale Anglicy i Amerykanie nie poprzestali na takich sądach, nagradzających piękne twarze. Wymyślili coś odwrotnego: oto urządzili konkursy brzydoty! Kto najbrzydszy, czyj nos niepodobny do ludzkiego, oczy zezowate, łeb nieforemny, kudły czerwone, gęba krzywa, ten miał być nagrodzony! W jednem z miast angielskich ogłoszono taki konkurs. Na sędziów wybrano dwanaście pań, sąd ten zasiadł w jednej z sal publicznych — a najobrzydliwsze pokraki stawały na podwyższeniu, za zasłoną, na której wisiały puste ramy od obrazu i zdumionym oczom ukazywały się w tych ramach raz po razu. Były tam gęby nie do uwierzenia szkaradne: jeden miał facyatę poprostu mopsa, okrągłą, z wystającemi zębami i płaskim nosem; drugi na cienkiej szyi nosił głowę i twarz wydłużoną, jak czubek głowy cukru; inny znów miał oczy zezowate, jedno czarne drugie zielone, nos olbrzymi, na dół zakrzywiony i zaglądający do ust; jeszcze inny łeb czerwony jak ogień, nos zadarty z dziurkami na wierzchu, oczy wąskie, skośne, uszyska odstające, szerokie a piegów na gębie co niemiara.



Widzimy na naszym obrazku, jak ten sąd się przedstawia; panie siedzą przed stołem, a za zasłoną w pustych ramach ukazała się twarz jakiegoś paskudnego grubasa. Nie wszystkie jednak sądzące zachowują miny poważne; trudno byłoby z pewnością o to i najsurowszemu sędziemu, gdyby co chwila stawał przed nim coraz to inny a coraz śmieszniejszy brzydal. Ostatecznie sąd konkursowy przyznał nagrodę pieniężną owemu z czerwonym łbem i piegami. Drugi z głową wydłużoną, jak szczyt głowy cukru, uczuł się tym wyrokiem dotknięty, uważał się bowiem za brzydszego. Wypisał sążnisty rekurs przeciw nieuznaniu go za najbrzydszego. W odpowiedzi na rekurs orzekł sąd, że gdyby miał twarz tylko o kilka centymetrów szerszą, mógłby uchodzić za przystojnego; do zdobycia nagrody za brzydotę bardzo mu jeszcze daleko. Podobno otrzymawszy to pismo bardzo się zmartwił. Niema co rzec — ciekawy honor być najbrzydszym!

W Ameryce, w Nowym Jorku, odbywały się również podobne konkursy. Założono tam nawet »stowarzyszenie wzajemnej pomocy brzydkich«. Po posiedzeniach we wspólnej sali podobno nie wolno należącym do tego stowarzyszenia pokazywać się razem na ulicy; wychodzą po jednemu lub po dwóch. Większa liczba takich brzydalów — piszą gazety tamtejsze — mogłaby na ulicy wywołać powszechny popłoch i trwogę i ludzieby w strachu uciekali przed potwornymi brzydalami!

Śnieg w Jerozolimie. W stolicy Palestyny, w Jerozolimie, zaszła niezwykła niespodzianka, na którą nikt nie był przygotowany, gdyż spadły tam śniegi, rzecz niebywała w tak ciepłym kraju. To też przez szereg dni, w których nad miastem szalała zawierucha, mieszkańcy prawie nie ukazywali się na ulicach ze słusznej obawy o przeziębienie z braku obuwia, dostatecznie chroniącego nogi. W wysokim stopniu ucierpiały od mas śnieżnych płaskie dachy domów; wiele zawaliło się pod ciężarem, w wielu wypadkach w czasie nastania odwilży woda strugami wpływała do mieszkań. Komunikacya w mieście uległa znacznemu utrudnieniu. Masy śniegu uniemożliwiały przesuwanie się wozów, sanki zaś w Jerozolimie dotychczas nie istnieją, a szkoda, bo ludzie mogliby byli, choć raz w życiu użyć sanny.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Merta St. w W.: Niech Pan na przyszłość każe komuś mądrzejszemu pisać przekaz, aby pisał wyraźniej, gdyż inaczej znów będzie przekręcone. — Szkatuła Fr. w D.: Wierszyki otrzymaliśmy, będą drukowane później. — Cuprys Stefan: Otrzymaliśmy — powoli pójdzie. — Józef Trębacz w K.: Wierszyk p. t. »Dlaczego psy żyją z kotami w nieprzyjaźni« umieścimy. — Józef Kobylański w L.: »Wiosna« będzie na wiosnę. — Stefania Szybowiczówna w S.: Wiersz p. t. »Hej wiosenka« bardzo miły i ładny — właśnie go umieszczamy; drugi p. t. »Cóż, że ja cierpię« ma trochę rymy niewyraźne. — Jantek z Bugaja: Za utwory dziękujemy. W tej drugiej sprawie nic nie mogę, gdyż p. K. właśnie wyjechał. — Franc. Pietyra w K.: Wszystko w porządku — opuszczono w potwierdzeniach przez pomyłkę. — Wiktorya Bilicka w K.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — Wawrzyniec Pietrucha w Rz. N.: Serdeczne dzięki za tak miły list. Rzeczy nadesłane dobre. — Antoni Rzym w Z.: Wiersze jak na początkującego autora niezłe. I ci, którzy dzisiaj bardzo ładnie piszą, lepiej początkowo nie pisali. — Czarnik Jędrzej w Rz.: Za pełen serdeczności list dziękujemy — oby Bóg dał, aby się życzenia spełniły, a wtedy moglibyśmy jeszcze lepiej pracować. Wydawnictwo takie jak »Rola« jest bardzo kosztowne, ale my też nie szczędzimy ani kosztów ani trudu, aby ją coraz bardziej ulepszać a w zamian niczego więcej nie pragniemy, jak aby w każdym domu nasza »Rola się znalazła. Tu też liczymy na pomoc naszych Przyjaciół. Zagadki dobre. — Wojciech Jaworski w Ch.: Myśl w wierszu nadesłanym dobra, ale wykończenie wiersza jeszcze nieudatne — może coś innego. — Wojciech Szocik w D. M.: Zagadkę umieścimy. Wierszyki również dobre, szczególniej ten p. t. »Wiosna. — Władysław Wołowiec w S.: Dwie korony otrzymaliśmy a najlepszy dowód, że »Rolę« wysyłamy. — Zygmunt Bogdański w J.: Można częściowo — a można i w całości — jak Panu lepiej. — Jan Skwara w T.: Zagadka będzie później. I Maciek potrzebuje czasem odpocząć. — Feliks Szewczyk w R.: Owszem dobre i będzie. — Ludwik Misiora w B.: Książka taka kosztuje 3 korony. Przy rozdzielaniu nagród za rozwiązania los rządzi. — Rudolf Grzegorz

w T.: Do rubryk »Z tygodnia« lub »Kronika« przyjmujemy chętnie, jeżeli będą rzeczy odpowiednie. Jak Sobczyk w B.: Zagadki dobre. Z artykuliku nie skorzystaliśmy, gdyż te same myśli drukowaliśmy z końcem ubiegłego roku. Możeby coś innego. — Walerya Trębacz w K.: Maciek trzyma za słowo i za starościnę prosi. Wierszykiem:

»Pozdrawiam cię, Maciuś, przez wróbla na płocie,
Bo myślę o tobie przy każdej robocie.
Pozdrawiam cię, Maciuś, przez butelkę wina,
Będzie dobra ze mnie tobie starościna«

ucieszył się Maciek bardzo i za pamięć serdecznie dziękuje. — Karol Powroźniak z S.: Otrzymaliśmy i dziękujemy — rzeczy wcale dobre. — Br. Gołębiowski w K.: List Maćka zadługi, to jedno, a drugie, że on niema jeszcze narzeczonej. W artykule styl dobry, lecz nadający się więcej do rzeczy poważnych. Możeby Pan spóbował sił swoich w tym kierunku — prosimy. — Antoni Kapusta w Z.: Numera od Nowego Roku mamy i wyślemy po otrzymaniu prenumeraty. W zeszłym roku Maciek gadał przez cały rok, więc najlepiej zamówić sobie cały rocznik (oprawny 4 kor.). Czek wysyłamy. — Wojciech Spyrka w Z.: Prenumeratę trzeba koniecznie z góry przysłać. — Wincenty Kapera w K. L.: Numera od Nowego Roku z początkami powieści wysłaliśmy. — Marcin Manicki w P.: Łatwiej Panu postarać się o 4 K. jak nam o setki, a zresztą nie o to chodzi tylko o porządek w Administracyi — Mateusz Wasiewicz w Rz.: My na takie polecenie adresu zmieniać nie możemy. — Piotr Kędzierski w P.: Za legendy jesteśmy bardzo wdzięczni — tylko więcej takich. Nadesłane Maćkowi lekarstwo na biedę przytaczamy tutaj, może i innym przyda się:

»Czasem bieda za mną »k'sobie« —
»Lecz ja »odsieb« migiem drobię.
»Nim się bieda »odsieb« ruszy,
»Ja znów »k'sobie« co mam duszy!
»Chce mnie bieda za czuprynę,
»To ja klęknę, to się zwinę,
»To ku ziemi się przechylę,
»Że nie dotknie mnie i tyle!«...

Jan Moś w Cz.: Jedna w numerze, druga nie, bo kto ufa więcej obcym, niż swoim, to sam sobie winien. — Andrzej Wróbel w K.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — Emil Nierychel w Z: Otrzymaliśmy — pójdzie. — »Ktoś, kto nadsyła fotografie dla Maćka«: Fotografie przyjmujemy z przyjemnością, ale nie trzeba przy tem brzydkich rzeczy pisać, bo Maciek to uczciwy człowiek i takich pisanin nie lubi.

Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłalii PP.: Żmuda Franciszek z O., Czytelnia T. S. L. z B., Tołpa Wawrzyniec z G. D., Gąsiorek Wincenty z B., Golas Maciej z Ł. (3.34 K.), Wilczyńska Katarzyna z S., Urbańczyk Antoni z M., Sterkiewicz Tomasz z B., Wolak Ludwik z K., Lipowczan Wiktor z I., Halfar Wiktor z Ł., Byrski Jan z K., Jan Kois z R., Jan Grzesiak z W. W. Gniewosz z K. (20 K.), Ignacy Przychocki z Ł.,

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Niźnikowa Anna z P., Bajor Filip z C., Stach Józef z J., Stach Józef z M., Cyrwus Bartłomiej z W., Niemiec Józef z Z., Sokuła Michał z O., Stopiński Jędrzej z B., Cholewa Stanisław z B. (3 K.), Ledziński Stanisław z B. (3 Kor.), Jan Dudek z O. (3 Kor.), Tomasz Tonia z G. (3 Kor.), Nowak Tomasz z T., Stęg Antoni z Cz., Seńko Oleszko z N., Izydor Spisak z R. (3 K.),

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Puchłopek Maciej z O., Tomiczek Jerzy z I., Suski Piotr z B., Olszowska Antonina z K.

ZWRACAMY UWAGĘ Czytelników *Roli* na ogłoszenie o „Książce do Nabożeństwa“ którą w tym roku wysyłaliśmy jako „Podarek Szczęścia“, a której cena dla Przyjaciół *Roli* została zniżoną.

Najnowsze materyały budowlane. Pod tym tytułem wydała znana fabryka maszyn specyalnych Dra Gasparego i S-ki, Markranstaedt koło Lipska, znów wspaniałą broszurę, w której zużytkowanie materyałów surowych, zdających się nie korzystnemi, jak to: piasek, żwir, kamienie, odpadki kuchenne, drzewna mąka i t. d. do materyału budowlanego dokładnie i wyraźnie opisane. Książka ta znajdzie zapewne dużo interesujących się, ponieważ ten materyał surowy wszędzie istnieje i zawsze zachodzi potrzeba dobrego jak również taniego materyału. Poczynając fabrykacyę cegieł, opisuje się jedno za drugim wyrób bloków, dachówek cementowych, płyt domowych i trotuarowych, rur kanalizacyjnych i drenowych i dużo innych betonowych przedmiotów, jak stopni schodowych, wanien kąpielowych, koryt, grobowych dekoracyj, podłóg cementowych i t. d. W niej znajdują się także widoki budynków i potrzebne do wyrobu tych materyałów maszyny i formy. Ponieważ firma ta specyalne co do budowania maszyn i do użytkowania wymienionych często bezużytecznie leżących materyałów bardzo jest doświadczoną i takie urządzenia od najmniejszych do największych dostarcza, więc przy opisaniu i widokach tychże można się łatwo zoryentować. Z tego powodu zwracamy uwagę wszystkich interesujących się, na broszurę tę Nr 406 tem bardziej, że firma ta także wszelkich specyalnych objaśnień udziela, materyały bada i najkorzystniejsze wskazówki podaje.

Nowym prenumeratorom wysyłamy numery od początku roku z początkami powieści i kalendarzem ściennym

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 14 marca:

Buhaje	Kor.	85	do	200	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	120	„	128	„
Jałówki	„	120	„	200	„
Cielęta	„	20	„	63	„
Owce i kozy	„	19	„	25	„
Świnie (bita waga)	„	132	„	148	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 14 marca:

Pszenica	Kor.	10·55	do	11·30	za 50 kg.
Żyto	„	7·50	„	7·90	„
Jęczmień	„	7·80	„	8·30	„
Owies	„	9·50	„	10·50	„
Otręby pszenne	„	5·20	„	5·35	„
Otręby żytnie	„	5·20	„	5·30	„

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Karol Żyła z F.).

1	8	9	10	11	8	9	12	Nazwa miesiąca.
1	**2**	10	13	9	4	14	3	Broń palna.
15	4	**3**	1	13	2	16	10	Mieszkanie księży.
17	8	9	**4**	14	18	19	20	Zwierzę dwukopytne.
15	8	4	16	**5**	9	2	10	Miara długości.
15	3	1	13	2	**3**	12	21	Drzewa cieniste.
17	3	20	16	17	8	**6**	9	Miasto w Galicyi.
17	16	22	6	8	9	6	**7**	Imię męzkie.

Litery wstawione w miejsce liczb oznaczonych grubym drukiem dadzą nazwisko zasłużonego męża, około rozbudzenia ducha narodowego na Śląsku austryackim.

2. ZAGADKA.

(Nadesłał Jan Sobczyk z B.).

Zgłoska. Mnóż ją — masz kawałki;
Odwróć — nie zrobisz piszczałki.

3. SZARADA.

(Nadesłał Piotr Kędzierski z P.).

Pierwsze i trzecie służy do ubrania głowy,
Drugie wspak trzecie wprost do domów budowy,
Całość tam znajdziecie, gdzie jest drobna dziatwa
Szarada niedługa i podobno łatwa.

4. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłał Rudolf Kula z M. K.).

```
          *
        . * .
      . . * . .
    . . . * . . .
  . . . . * . . . .
* * * * * * * * * * *
  . . . . * . . . .
    . . . * . . .
      . . * . .
        . * .
          *
```

W miejsce kropek i gwiazdek powstawiać litery, które dadzą słowa o następującem znaczeniu:

1. Samogłoska, 2. Wykonawca śmierci, 3. Zwierzęta domowe, 4. Wyspa na morzu Śródziemnem, 5. Nazwisko pisarza polskiego, 6. Imię i nazwisko króla polskiego, 7. Imię męskie, 8. Państwo w Europie na północy, 9. Rzeka w Galicyi, 10. Organ zmysłu ludzkiego, 11 Samogłoska.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą to samo imię i nazwisko, co pod l. 6.

5. SZARADA.

(Nadesłał Rudolf Grzegorz z T.).

Jeśli kogo drugi trzeci
Pierwszych nie ominie,
Chociaż cały radość nieci
Opłączą go smutku sieci
Nieraz łza popłynie.
Treść szarady nie wesoła!
Lecz wesoły temat,
Bo nie znosi smutków zgoła
I zamienić życie zdoła
W wesoły poemat.

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy do rozlosowania:

1) Jantka z Bugaja ***Blade kwiaty z wiejskiej chaty.*** (Cena 3 kor.).
2) ***Hrabia i niedźwiedziarz.***

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 25 marca 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 10 *Roli*: 1. Arytmogryf: **Racławice,** 2. Szarada: **Rakowice,** 3. Szarada: **Sandomierz.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Racławickie pola
Już my dawno znali,
Gdzie Kościuszko pobił
Sobaków Moskali.

Tam kosynierzy nasi
Tak dzielnie walczyli,
I armat dwanaście
Na wrogu zdobyli.

A Sandomierz miasto
Bardzo w Polsce sławne,
Co nam przypomina
Złote czasy dawne.

Złote to te czasy,
Jak poranna zorza,
Wolna Polska była
Od morza do morza.

Wolna Polska była
Wolną jeszcze będzie,
A zaś na jej tronie
Król Polak zasiędzie.

Coście mi kazali
To już rozwiązane,
W nagrodę książeczkę
Napewno dostanę.

Wawrzyniec Pietrucha.

2.

Racławice! Racławice!
Szabli... kosy... błyskawice...
Krew pociekła... krwią zbryzgani...
Wkoło kupy ludzkich ciał.
Wrogów chwycił wściekły szał,
Rzucają się na wsze strony,
Nadaremnie... wróg zbroczony,
U stóp chłopa rozciągniony...
Wojska mało.. wielkie działa...
Chłop przy chłopie... wielka chwała...
Zwyciężyła suknia biała,
Zwyciężyła chłopska dłoń,
Górą kosa, chłopska broń!
Wiwat jenerał w sukmanie!
Wiwat dzielni Krakowianie!...

Józef Kobylański.

3.

Znaczenie arytmogryfu w te uchwytam słowa:
Robota, ambona. czapka, łopata domowa.
Afryka, Werona, Irenka, Cecora, Estera
Oto wszystko, co trzeba, co biegłość wyszpera,
Zaś na widok całości rozjaśnia się lice,
Bo to są nasze sławne, sławne Racławice.
Podobna do Racławic jest szarada druga
A wreszcie trzecia krętą drogą zmierza
Nie wiem, czy pięknego miasta Sandomierza.

Józef Kulka.

4.

Panie Józefie Duraku!
Nie było tam pewnie smaku,
Kiedy to pod Racławicami
Była walka z Moskalami.

A Wy Sobczyku Panie!
To za ciężkie zadanie,
Kruki kraczą, wilki wyją,
Co aż poty na mnie biją.

Zaś w Jesionkowej szaradzie,
Tam się rzeka San nasz znajdzie,
Gdy się do Sanu domierzy,
Kto to temu nie uwierzy,
Że całość będzie Sandomierzem,
Mówią, że Maciuś tam był żołnierzem
I, zdezerterował z tej przyczyny,
Bo zamieszkał u dziewczyny...

Władysław Wołowiec.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: J. Sobczyk z B., B. Zachariasiewicz z K., E. Oczkowski z G., J. Burghardt z S., W. Obara z Sz., A. Zieliński z M. z., A. Warchoł z Z., J. Zieleźniak z Cz., F. Żebrok z B., J. Brzezina z T. g., K. Kowalski z K., A. Irecki z G., W. Lanoszka z S., M. Pabijan z P. U., J. Skwara z T., T. Mateja z W., M. Dudek z Ż., R. Kula z M. K., J. Zyzak z Ż., K. Żyła z F, F. Sojka z Z., H. Biłko z S., J. Kłoda z M., F. Teper z K. M., J. Fierich z K., J. Hirszberg z K., W. Ćwiok z P., L. Misiora z B., M. Wyżykowski z R., J. Burdak z Ł., J. Luzar z R., P. Gajoch z P., J. Bąbaś z S., M. Kulka z H., M. Zięba z O. B., T. Czernek z C., M. Radlmesserówna z S., S. Dziadyk z M., J. Moś z Cz., K. Broda z R., J. Czachor z M., M. Kornas z K., W. Stachura z T., A. Hetper z B., J. Gasiński z B., F. Klocek z N. T., W. Cebulski z K, W. Cetera z Ch., P. Kurek z W. N., J. Jarmuła z Z., J. Filipiak z T., A. Wróbel z K., F. Szewczyk z R. d., S. Kowalska z K., L. Gałuszka z P., A. Bezokówna z K. m., J. Walatek z R., W. Stefański z G., Z. Bogdański z J., S. Garzeł z B., J. Trębacz K., Z. Oraczewska z Ż., W. Nowacki z Z., P. Sendyk z P. m., A. Babiakowa z U. d., M. Pietryka z B., W. Tomaszewski z P., A. Wandzek z S., P. Bielecki z D., J. Kręcina z Ż., F. Cyran z M., A. Mońdok z Cz., W. Wawrzczak z K., M. Kałuziński z R., J. Kobylańska z B., K. Sierosławski z G., Józef Dziura z Ch. (wierszem), Fr. Markiewicz z S, Adam Rzeźwicki z P. (wierszem), Walerya Trębacz z K. (wierszem), Michał Pałac z O. (wierszem), Rudolf Grzegorz z T. (wierszem) Antoni Kościelny z K. W. (wierszem), Jan Ziemski z Cz. (wierszem), Józef Płocica z Sz. (wierszem). Stanisł. Chrapusta z W. L. (wierszem), Wojciech Szocik z D. M., Antonina Ćwiertniewicz z K.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Wojsko polskie z 1830—31 r.*** wylosował p. **Józef Kulka** z B., drugą p. t. ***Kochaj bliźniego swego*** p. **Andrzej Wróbel** z K.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.